№ 7. Warszawa, dnia 3 (15) Lutego 1879 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

TOMASZ ALVA EDISON.

PRZEZ

J. Belejowską.

Angielskie czasopismo *Scribner's Monthly* zamieszcza ciekawy życiorys sławnego wynalazcy, którego wynalazki i odkrycia naukowe tak głośném w całym świecie rozległy się echem; podajemy go w skróceniu.

Tomasz Alva Edison urodził się w Medyolanie, w hrabstwie Erie, w stanie Ohio, w Ameryce, dnia 11 lutego 1847. Jest to mała nieznana wioseczka rozsiadła nad brzegami kanału; nikomu pewnie nie przyszłoby na myśl szukać w niéj kolebki geniuszu, gdyby geniusz miał zwyczaj objawiać się według jakichś stałych z góry naznaczonych formułek. Wkrótce po jego przyjściu na świat, rodzina jego zamieszkała w wiosce Port-Huron, w której Edison spędził cały niemal swój wiek młodociany. Nie było tu żadnych środków pomocniczych, mogących przyczynić się lub ułatwić rozwój wielkich, drzemiących w duszy chłopczyny zdolności.

Rodzina Edisona należała do prostego gminu; nikt z jéj grona nie odznaczył się jakimiś wyższymi zdolnościami, których dziedziczności możnaby przypisać genialne zdolności sławnego wynalazcy. Miał kilku braci i kilka sióstr, a z całego tego rodzeństwa nikt nie okazał najmniejszéj chęci lub zamiłowania do nauk, mających stać się zawodem Tomasza. Co najwięcéj możnaby przypuścić, że odziedziczył po ojcu zmienność charakteru czy usposobienia, gdyż ten także często bardzo zmieniał zajęcia i był z kolei krawcem, dozorcą hodowli jedwabników, kupcem zboża, handlował gruntami, jak gdyby nie mógł trafić na swoje powołanie. Ojciec ten, dziś siedmdziesiąt czteroletni starzec, jest nadzwyczaj silnie zbudowany i dotąd zdrów i czerstwy, dziad umarł mając lat sto dwa, a pradziad dożył do stu czterech. Jeźli słynny wynalazca odziedziczył tę długo-wieczność, jakiż to bogaty plon odkryć pożytecznych obiecywać sobie po nim można, skoro dziś ma dopiero lat trzydzieści jeden.

Matka jego, pochodzenia szkockiego, urodziła się w Massachuset, odebrała staranniejsze ukształcenie i czas jakiś utrzymywała szkołę w Kanadzie: jéj to zawdzięcza Edison wszystko czego się uczył porządnie, gdyż do zakładów publicznych nigdy dłużéj jak po dwa miesiące z rzędu nie uczęszczał regularnie. Tak nauczyciele jak współuczniowie nigdy nie dostrzegali w nim jakichś szczególniejszych zdolności; w rodzinie także nigdy nie uchodził za jakieś cudowne dziecko, chyba może gdyby ktoś bacznie obserwował jego zabawy, mógłby był dostrzedz w nich objawy zdolności zapowiadające świetną czekającą go przyszłość.

Od lat młodocianych nadzwyczaj lubił czytać; głośne nazwiska, wielkie czyny, zajmowały go niewypowiedzianie. Łatwo pojąć że o książki nie było mu łatwo; żądny wiedzy czytał co mu w ręce wpadło. W dziesiątym roku czytał *Anglią* Houme'go, *Rzym* Giblion'a, *Encyklopedyą* wychodzącą w małych zeszytach, oraz różne książki traktujące o chemii, które może naprowadziły go na tor przyszłego zawodu.

W dwunastym roku zaczął pracować na swoje utrzymanie. jako „train boy" na Grand Trunk Railroad, z Kanady do Michigan;" kto zna jak zimną krwią, jaką łatwością wysłowienia i przebiegłością finansową odznaczają się młodzi tego rodzaju przemysłowcy, przyzna niezawodnie że zajęcie to nie przyczynia się bynajmniéj do ukształcenia umysłu, wyrobienia badawczego zmysłu, daru zastanawiania się i rozwagi oraz głębokiéj znajomości sztuk i nauk — ale dawało mu łatwy sposób do życia. a zdaje się że wówczas Edison nie marzył jeszcze o sławie ani o wielkich pomysłach jakie następnie zajmować go miały. Obowiązek swój spełniał bardzo gorliwie, następnie z podwładnego sam został antreprenerem, przybierając sobie czterech współpracowników mających mu pomagać w rozprzedaży różnych artykułów prowadzonego przez niego handlu. Dziś jeszcze Edison lubi mówić o téj epoce swego życia.

Raz. ktoś zapytał go żartem „czy należał do takich trains-boys, co to sprzedają pudełka fig, których dno miewa pół cala grubości?

— O ile sobie przypominam, odrzekł uśmiechając się złośliwie, moje pudełka miały dna więcéj niż cal grube,"

Przechowała się jego fotografia z czasów gdy był „train-boyem;" przyszły sławny wynalazca przedstawia się na niéj jako pucołowaty chłopak w lakierowanéj czapce, z paczką dzienników pod pachą. Twarz uśmiechnięta z wyrazem jakiejś pokornéj dobroduszności. Koledzy uważali go za rodzaj dziwaka—i wiedział o tém: W oddziale do palenia, urządzonym z jakiegoś starego wagonu bagażowego, służącym mu za skład jego dzienników, owoców i różnych przedmiotów których rozprzedażą koledzy jego nie zajmowali się w ogóle, nagromadził różne przyrządy i narzędzia zdobyte z warsztatów kolei żelaznéj w zamian za dzienniki, kupił czy dostał od kogoś egzemplarz *Analyse qualitative* Fresenius'a, i podczas gdy wagon sunął się po relsach, on odbywał różne doświadczenia chemiczne.

W wolnych godzinach przychodził do drukarni dziennika *Detroit Free Prees* i tam obeznał się nieco ze sztuką drukarską; korzystając ze zdarzonéj sposobności, kupił w téjże drukarni trzysta funtów starych czcionek i obok swego laboratoryum urządził drukarnię. Wszelkie praktyczne wiadomości swoje z tylu pożytecznych przedmiotów zawdzięcza

Edison temu jedynie, iż umiał dostać się wszędzie gdzie go coś zajmowało i patrzéć rozumnie na wszystko co mogło mu być pożytecznêm. Już to nauczył się czegoś od mechaników; to znów w warsztatach kolei żelaznéj obznajmiono go z praktycznym kierunkiem lokomotyw, a przez swoje stosunki z telegrafistami, nabrał pojęcia o potędze elektryczności.

Urządziwszy swoją przenośną drukarnię, zaczął wydawać dziennik p. n. *Grand Trunk Gerald*. Było to pismo tygodniowe, wielkości kartki wysokiej 12 cali a szerokiéj 6; jakiś podróżny pokazał jeden jego numer w redakcyi *Times'a* londyńskiego, i zamieszczono o nim wzmiankę w szpaltach tego dziennika, jako o jedyném piśmie drukowaném podczas biegu pociągu kolei żelaznéj. Odbijanie druku od bywało się arcy pierwotnym sposobem — przyciskano ręką papier do czcionek, i tenże po jednéj tylko stronie był drukowany. W roku 1862, podczas bitwy pod Pittsburg, przedsiębierczy zarządca drukarni, umyślił zamieszczać na czele swego dziennika sensacyjne wiadomości i rozlepiać je po małych stacyach. Sprzedawał je prędko z wielkim zyskiem; od owego to czasu zaczął szczególniéj zajmować się telegrafią, mającą w przyszłości tak ważną w odkryciach jego odgrywać rolę.

Pomimo tych „redaktorskich zajęć“ młody Edison zawsze namiętnie lubił czytać i trawiony był ciągle niepohamowaną żądzą wiedzy; jako dowód naiwnéj jego nieświadomości, trudności z jakiemi na téj drodze co krok walczyć trzeba, dość powiedziéć iż postanowił sobie przeczytać całą wielką bibliotekę publiczną. Nie miał nikogo coby umiał go objaśnić, że cała suma wiedzy ludzkiéj może się pomieścić nie w tak niezliczonéj liczbie tomów i wskazać gdzie ich ma szukać. Zaczął więc od ciężkich traktatów spoczywających na zakurzonéj najniższéj półce, długiéj na 15 stóp i cierpliwie przeczytał wszystkie, nie opuszczając ani jednéj kartki. Między temi książkami były *Zasady* Newton'a, *Dykcyonarz naukowy* Ure'a i *Anatomia Melancholii* Burton'a.

Łatwo pojąć że zajmując się jednocześnie tylu rzeczami, nie mógł zawsze każdéj z całą oddać się uwagą, z czego wypływały niekiedy bardzo przykre następstwa. I tak raz podczas jego nieobecności, flaszka z fosforem spadła na ziemię i rozbita spowodowała pożar w starym wagonie bagażowym; uniésiony gniewem konduktor wpadł do wagonu, zaklął okropnie i powyrzucał wszelkie jego chemiczne przyrządy i preparaty, a nie dość na tém biednemu chemikowi, dziennikarzowi i kupcowi zarazem, udzielił bardzo dotykalne napomnienie.

Już to w owym czasie, przyszły wielki geniusz nie miał jakoś szczęścia do przedsiębierstw. Między innémi zaczął wydawać w Port-Huron mały dzienniczek p. n. *Paul-Pry*, do którego współpracownicy darmo dostarczali artykułów, a korzystając z bezimienności, pozwalali sobie zbyt wyraźnie napadać na niektóre osobistości, jeden z tak dotkniętych, widać nie lubiący procesów a może i nie bardzo dowierzający sądom, wolał sam sobie wymierzyć sprawiedliwość i biednego redaktora wrzucił w wodę. Podobna zimna kąpiel przydałaby się nie jednemu redaktorowi, lekkomyślnie rozszerzającemu w swém piśmie nikczemne potwarze.

Od chwili w któréj pojął pierwsze zasady telegrafii, stała się ona ulubionym, nieustannym przedmiotem jego badań i rozmyślań. Otoczył drutami metalicznémi parter domu ojca swego w Port-Huron; następnie, z pomocą jednego ze swych towarzyszy przeprowadził krótką linię, urządzając stosy z drutów miedzianych, gwoździ i cynku, które kupował od uliczników, przychodzących do ich posiadania nie koniecznie prawym sposobem.

Jadąc koleją, okazywał zuchwałą odwagę; wyskakiwał np. z wagonów pędzących szybko, na kupę piasku którą w tym celu przygotował sobie, aby prędzéj dostawać się do domu. Pewnego razu, z narażeniem własnego życia, ocalił dziecko naczelnika stacyi w Port-Clement, znajdujące się na drodze w chwili przejścia pociągu — szlachetne to poświęcenie stało się powodem zmiany jego zawodu. Wdzięczny ojciec, zaczął zasadniczo uczyć go telegrafii; jednak nie przestając na tém, Edison jednocześnie uczył się szewctwa — zkąd mu przyszła taka ochota? niewiadomo — ale wkrótce porzucił to rzemiosło i oddał się wyłącznie nauce i doświadczeniom telegraficznym. Od owego to czasu zaczął nadzwyczaj gorliwie poświęcać się nauce elektryczności, badając ją wszechstronnie i liczne robiąc doświadczenia, jakby przeczuwał że stanie się ona torem większéj części jego wynalazków. Wyprowadził z niéj nawet nową zasadę „siłę eteryczną“ która rzuca iskrę przez dwudziesto stopową warstwę powietrza i wywiera szczególniejsze działanie na wiele produktów chemicznych; jednakże dotąd jeszcze nie daje się ona oznaczyć galwanometrem.

Łatwość z jaką wtedy już umiał zastosowywać do okoliczności działanie i zasady nowego swego zawodu, zdradzała już wówczas bystry jego geniusz wynalazczy. Pewnego razu, bryła lodu zerwała drut między Port-Huron w Michigan, a Sarnią na wybrzeżu Kanadyjskiém, przez co przerwaną została komunikacya telegraficzna. Rzeka ma w tém miejscu 2½ kilometra szerokości; nie mogąc jéj przebyć, nie można było w żaden sposób naprawić zerwanego drutu. Cóż robi Edison? oto po chwilce namysłu wskakuje na lokomotywę i chwyta za rękojeść świstawki parowéj. W mgnieniu oka przyszło mu na myśl, że odgłos świstawki da się podzielić na długie i krótkie dźwięki; odpowiadające punktom i kreskom pisma telegraficznego.

— Hola! uważajcie tam w Sarnia! czy rozumiecie co mówię? zagwizdała lokomotywa.

Żadnéj odpowiedzi. I tak pięć razy z rzędu bezskutecznie powtórzył to pytanie; w końcu jednak zrozumiano, a uradowani telegrafiści odpowiedzieli także gwizdem świstawki parowéj, i tym sposobem komunikacya została przywrócona.

Badając pierwsze lata zawodu Edison'a, widzimy że nieustannie zmieniał miejsca pobytu, już to w celu poznania świata, już w widokach większych korzyści, a często też i dla tego że go oddalano nagle od obowiązków, z powodu ich zaniedbywania. Pewnego razu, w Stratford, w Kanadzie, polecono mu aby na dowód że czuwa i stoi na swojém stanowisku, co pół godziny przesyłał dyrektorowi pewien oznaczony wyraz; cóż robi Edison? oto obmyślił przyrząd wiernie spełniający to jego zadanie, a sam pracował nad urzeczywistnieniem jakiegoś świtającego mu w głowie pomysłu. W Indyanopolis, opóźniał się z przesyłaniem dziennikom depesz telegraficznych, bo wtedy właśnie zajmował się doświadczeniami nowych metod, dających się zastosować do ułatwienia śpieszniejszego przesyłania tych depesz.

W 1864 roku pracował właśnie w Memphis nad wprowadzeniem w wykonanie swego pomysłu przesyłania dwojakich depesz; wtém zarząd bióra zmienił się a gdy nowy zwierzchnik zażądał o nim opinii, dano mu do zrozumienia że najlepiéj nie włączać go do składu personalu nowéj administracyi.

W Louisville, przyniósł do bióra znaczną ilość kwasu siarczanego, potrzebnego mu do doświadczeń; przewrócił przez nieuwagę flaszkę, płyn przesiąknął na niższe piętro i porobił duże szkody w apartamencie pewnego bankiera — biedny wynalazca nie mało miał przykrości z tego powodu. Będąc w Cincinnati, opuszczał bióro pod najrozmaitszémi pozorami, i biegł do biblioteki aby tam czytać jak najwięcéj i jak najdłużéj.

Wszystkie te zaniedbywania i opuszczania się, nie pochodziły przecież bynajmniéj z lekceważenia swoich obowiązków ani też z lenistwa, tylko oddany całą duszą swoim wynalazkom, Edison nie mógł się oprzéć popychającemu go ku nim popędowi i owładnięty ich urokiem, zapominał o wszystkiém.

W roku 1868 przybył do Bostonu; tu okazał się tak biegłym w telegrafii i odnoszących się do niéj przedmiotach, iż mimo swéj niepozornéj powierzchowności, zdołał pokonać stawiane mu przeszkody i zajął dość ważne stanowisko. Odtąd zaczął urzeczywistniać i doprowadził do doskonałości niektóre zaledwie pierwéj naszkicowane w umyśle swoim pomysły, a nadto wprawił się w bardzo szybkie, piękne i jak druk czytelne pismo. Nowa w życiu jego rozpoczęła się epoka. Wprowadził w życie niektóre z pomniejszych swoich wynalazków i zaczął telegrafować według nowéj zasady drgań, a co najważniejsze dla wynalazcy, zaczynał wierzyć sam w siebie. Mimo to nie udały mu się ważne doświadczenia z podwójnym systemem i doznał różnych niepowodzeń. Nadzwyczaj przygnębiony, udał się do Nowego-Yorku, gdzie czekało go już świetne powodzenie i hojna nagroda za jego długą i wytrwałą pracę. Naprawił zaraz wskazówkę „Gold and Stock Company“ która zepsuła się w nadzwyczaj ważnéj dla stowarzyszenia chwili; zaczął rozpatrywać i zbadał przyrządy tegoż stowarzyszenia i wynalazł przyrząd drukarski, który natychmiast został wprowadzony w użycie.

Edison obdarzony jest jakimś szczególnym instynktem, dozwalającym mu pochwycić od razu w każdym mechanizmie główną jego zasadę; obmyśla natychmiast sposób usunięcia krępujących ją więzów i możliwego uproszczenia kombinacyi, a społeczeństwo odpłacając mu się za oddawane sobie usługi, daje mu w zamian sławę i majątek.

„Western Union Telegraph Company“ zapewniło sobie jego usługi, a dwa jeszcze przedsiębierstwa płacą mu wysokie pensye, aby zapewnić sobie pierwszeństwo korzystania ze wszystkich jego wynalazków odnoszących się do telegrafii. Otrzymał trzydzieści pięć patentów na telegrafy chemiczne i automatyczne, ośm na telegrafy mogące przesyłać po jednym drucie dwie do czterech depesz odrazu, trzydzieści ośm na druki telegraficzne, a ośm na udoskonalony przyrząd Mors'a. Długo bardzo żartowano sobie z pragnących obmyśléć przesyłanie dwóch depesz razem po jednym drucie, uważając to za rzecz zupełnie niemożebną; jakież było zdziwienie niedowiarków, gdy Edison ogłosił i dowiódł zarazem: że obmyślił system umożliwiający przesłanie jednoczesne czterech depesz po jednym drucie. Dziś wiadomo już że zasadza się to na istnieniu odmiennych własności elektrycznych, które można jednocześnie wprawić w ruch na drucie, nie powodując zamieszania. Edison zamierza jeszcze obmyśléć system dozwalający przesyłać sześć depesz razem, po jednym drucie.

Obecnie bajeczne prawie powodzenie uwieńczyło prace byłego *train boy'a*. „Western Union Company“ zapłaciło mu podobno 100,000 dollarów, za jego wynalazek telefonu, oprócz wysokich sum zapłaconych mu za jego system przesyłania czterech na raz depesz po jednym drucie oraz za inne jego wynalazki. Utrzymują, że same opłaty za zyski

ociągane z pokazywania fonografu, przynoszą mu 500 dollarów na tydzień.

Wszystkie niemal jego wynalazki osiągnęły cel przez niego zamierzony i zarazem znaczne zapewniają mu korzyści. Obecnie prowadzi na wielką skalę liczne swoje doświadczenia, na które wydał już przeszło 400,000 dollarów, a w zakładzie jego, w Newmarck, pracowało przeszło trzystu robotników. W tém to mieście po raz pierwszy zaczął regularnie uczęszczać na kursa, aby systematycznie uczyć się chemii; tu także ożenił się z miss Mary Stillwel, a w 1876, sprzedał swój zakład i przeniósł się na mieszkanie do Menlo-Parku.

Jest to jedna z nowych stacyi drogi pensylwańskiéj, w New-Jersey, o godzinę drogi kołowéj od New-Yorku. Mała ta wioszczyna liczy kilka tylko domków, pomazanych żółto lub czekoladowo; jeden tylko dom Edisona pokaźniéj się przedstawia, ale powierzchowność bynajmniéj nie zapowiada zbytku. Przybywający tu podróżnicy z różnych stron świata, niemało zostają zdziwieni, gdy wysiadłszy z pociągu, zobaczą tak małą i cichą wioszczynę, któréj ciszę zakłóca tylko brzęczenie pszczół i lekki powiew wietrzyka, pochylający wysokie trawy. Zdaje się że taka miejscowość nie odpowiada wielkiemu zadaniu kolebki z któréj powstają nowe, tajemnicze siły, mające tak wielki przewrot sprawiać w naukach, gdyż nowe odkrycia i wynalazki genialnego Edisona, odgrywają nadzwyczaj ważną rolę w przygotowaniu drogi nowym klasyfikacyom wiedzy ludzkiéj, streszczając w małej liczbie prostych, łatwych do pojęcia ogólników, rozległe nagromadzenie materyałów odnoszących się do form rozmaitych sił.

Na małém wzgórzu, wznoszącém się po za łąką, naprzeciw stacyi, w pewnéj odległości od innych domów, na dziedzińcu otoczonym nizkiemi palisadami, widać duży biały drewniany budynek o dwóch piętrach, z wielkim balkonem czy tarasem, ciągnącym się wzdłuż fasady. Z pozoru można wnosić że to dom szkolny, miejsce gdzie się zgromadzają dla słuchania kazań, a w południe, widząc wchodzących i wychodzących tyle poważnych postaci, patrzącemu przychodzi na myśl że to zapewne jakiś gmach komunalny, w którym odbywają się posiedzenia i narady kontrybuentów.—Nie, to dom sławnego wynalazcy, całkiem prawie zajęty na laboratoryum; a choć ma sto stóp długości i 30 szerokości, jest już dziś tak ciasny, iż zaczęto budować obok drugi dom, daleko rozleglejszy. Na parterze mieszczą się przyrządy do najdelikatniejszych doświadczeń, sala rysunkowa i bióro; tu pracuje trzynastu wyborowych pracowników. Na pierwszém piętrze znajduje się wielka sala, w któréj, w pewnych odległościach, stoją stoły, na których, jako téż i na podłodze, porozstawiane są stosy elektryczne, retorty, kotły alembikowe z rurami i przeróżne narzędzia i przyrządy. W około scian, na pułkach, rozmieszczona jest niezliczona liczba pomniejszych narzędzi, oraz nieskończony szereg flaszek i słojów z produktami chemicznémi.

(*d. n.*)

Noc zimowa.

Po nad ziemią noc zimowa!
Mroczno, cicho, skrzypi śnieg,
Księżyc świeci znów się chowa
Tajemniczy tocząc bieg.

A tam w górze, gwiazd tysiące
Wśród niebieskich miga sfer
Jak brylantów blaski drżące,
Jak miliony złotych skier.

Cicho w stepie! Dzienne gwary
Dawno zcichły nakształt fal,
Płyną chmury niby mary,
Lekkie, mgliste mkną gdzieś w dal.

I jak duchów liczne cienie
Widać zdala ciemny bór,
W krótce pierwsze dnia promienie
Błysną znowu z poza gór.

A na wschodzie mgły świetlane,
To jutrzenki rozkwitł kwiat,
W harmonijny akord zlane
Niebo...... ziemia....... cały świat.

Natalja Dzierżek.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Pan Salezy nie uznał to za tak naturalne, że nawet żadnéj dyskusyi w téj materyi nie przypuszczał. Eliza motywowała to nawet pewną oszczędnością. Ponieważ naprzykład statkiem parowym lub omnibusem na *Lido* do kąpieli płynąć nie wypadało, a prócz tego lekarz choremu paralitykowi kilkogodzinną codziennie przejażdżkę wodą zalecił, osobna i stale najęta gondola była w takim razie raczéj oszczędnością niżeli zbytkiem. Późniéj dodano poprawkę, że każda przyzwoita gondola musi mieć dwóch gondolierów nie różniących się od siebie ubiorem czy raczéj liberyą. I tak podczas wiatru lub burzy nie wolno puszczać się na wodę z jednym gondolierem.

Dziwiło to tylko Elizę, że wszystkie gondole były czarne, że znajdujące się na nich namioty czyli „fenze" były czarnem suknem przykryte. Wyglądało to coś na karawan. Eliza mniemała, że jaśniejsza barwa byłaby weselsza a przedewszystkiem efektowniejszą. Wytłomaczono jéj jednak, że to być nie może. Dawniéj bowiem, gdy miasto było w świetnem położeniu, sadzono się na zbytek, który w takim jak Wenecya mieście, koncentrował się przeważnie w gondolach. Były one drogiemi okrywane materyami, a nawet wszywano w te materye brylanty i inne drogie kamienie. Rząd miasta położył koniec téj szkodliwéj emulacyi zbytku i próżności, wydając rozkaz, że wszystkie gondole mają być czarne, bez żadnych innych dodatkowych kolorów. Musiano się do tego zastosować, a gdy późniéj można było fantazyi wodze popuścić, stała się czarna gondola zwyczajem uświęconym tak samo jak frak czarny po rządach gilotyny zajął miejsce czerwonych aksamitów i złotych haftów.

Eliza nie mogła więc żadnej w tym względzie zaprowadzić reformy. Najęto gondolę czarną nakrytą materyą i dwóch gondolierów przybrano w liberyą domową z przepaską na lewéj ręce, na któréj błyszczał na posrebrzanéj blasze misternie wyciśnięty herb Jastrzębców.

Gdy już to wszystko było gotowe, zrobiła polska rodzina pierwszą na szerszy świat kąpielowy, urządzoną wycieczkę. Sędziwy paralityk w niedbałym ale wykwintnym stroju wyglądał jak lord angielski, pani Apolonia była bardzo przyzwoitą dystyngowaną jéjmością a piękna Eliza z wahającym się na szczycie głowy estetycznem kapelusikiem, była podobną do księżniczki Marguerity, która niedawno zachwycała wszystkich mieszkańców nadwodnego miasta.

Rozumie się samo przez się, że tryumfalna taka przejażdżka rodziny polskiéj po Lagunach Adryatyku nie przeszła bez efektu.

— *Ecco, conterra!* wołali gondoliery.

— *Principesse di Dossia!* poprawiali *fachini*.

Niemniéj i z gondoli, sterowanych przez herbowych gondolierów skierowała się ku nim niejedna lornetka, i niejeden nabrzękły nos starego podagrysty poszedł za lornetką z prawdziwém upodobaniem.

Gdy późnym wieczorem wszyscy do hotelu wrócili panowało między nimi powszechne zadowolenie. Pan Salezy czuł się zdrowszym, pani Apolonia ani nie zakaszlała a Eliza miała lice tak rumiane, jakby odrazu z swojéj bladości ozdrowiała.

Po odniesionym na morzu tryumfie potrzeba było i na lądzie zwyciężyć. Udano się w tym celu na plac Ś. Marka, ów czarodziejski nocną porą cudownie oświetlony salon pod gołem niebem wszystkich mieszkańców Wenecyi. Pokaźniejszy gondolier w liberyi miał polskiéj rodzinie w tym tłumie towarzyszyć. Czarny jego marynarski kapelusz z błękitną długą wstęgą sprawiał efekt należyty.

I tu zwrócono na polską rodzinę niepowszednią uwagę. Elizie nawet trochę natarczywie zaglądano w czarne oczy, za co jednak wcale się nie gniewała.

Pozostał jeszcze teatr. I tam trzeba było dać znać o swojéj egzystencyi i publiczności się przedstawić. W tym celu wybrano arystokratyczny teatr *Fenice* i w loży pierwszego piętra na tle bogato rzeźbionem i złoconem okazano się zgromadzonym widzom. W bilansie tego dnia jedna tylko pozycya była nieprzyjazną. Efekt był niemały, ale cena loży okazała się trochę za wygórowaną. *Fenice* bowiem nie ma lóż na sprzedaż. Są one wszystkie własnością towarzystwa, które ten teatr założyło. Patrycyusze miasta złożyli fundusz, a za to na wieczne czasy dla siebie i sukcesorów swoich zabrali wszystkie loże. Loże więc tego teatru są własnością prywatną i wtedy tylko mogą być oddane do użytku publicznego, jeżeli właściciel swoją lożę na sprzedaż wystawi. Wtedy zazwyczaj następuje licytacya a loża dochodzi czasem do bajecznéj ceny. Tak też stało się i z polską rodziną, która oprócz innych szlachetniéjszych sukcesów tego dnia, nie mogła prędko zapomnieć o kilkudziesięciu frankach nie licząc w to innych koniecznych wydatków.

Po tych pierwszych w szerszy świat wycieczkach opanowała polska rodzina nową swoją sytuacyą. Nic już nie było obcem, nic nigdzie nie zawadzało, swobodnie jéj było i swojsko jak we własnym domu. W zachowaniu się jéj na wszystkich miejscach publicznych była już owa pewność, która doświadczonych turystów cechuje. Eliza nawet spostrzegała już małe uchybienia przeciw zwyczajom i obyczajom miejscowym, jakich dopuszczali się cudzoziemcy świeżo przybyli. Z uśmiechem politowania patrzała na nich, a jeżeli była w dobrym humorze udzielała nawet chętnie niezaradnym przybyszom potrzebnych wyjaśnień.

Tak przeszli pierwsze tygodnie.

V.

Pewnego pogodnego wieczora, gdy plac i arkady Ś. Marka zapełnione były przechadzającymi się mieszkańcami i cudzoziemcami, zdawało się Elizie, że słyszy za sobą dźwięk polskiéj mowy. Dźwięk ten był dla niéj tem ciekawszy, że pochodził z ust kobiecych i brzmiał nadzwyczaj sympatycznie. Widocznie mówiąca kobieta była młoda.

Eliza obejrzała się, ale blask gazowéj lampy tak ją olśnił, że kilka chwil nic przed sobą nie widziała. A gdy znowu coś widzieć mogła, nie było już żadnéj, tylko słusznego wzrostu mężczyzna z czarnym na twarzy zarostem przebijał się ku niéj przez tłum ciekawych, który oglądał świeżo wystawione w szybie fotografie.

Eliza spojrzała jeszcze raz na mężczyznę, który zasłużył na to, aby mu dłuższą poświęcić uwagę. Był wysmukły i słuszny, miał piękne regularne rysy twarzy i oko nadzwyczaj wyraziste. Oko to zataczało się niecierpliwie jakby kogoś zgubiło lub coś szukało. Ubiór i ruchy mężczyzny okazywały wyższą sferę do któréj należał. Tak przynajmniéj zdawało się Elizie.

W téj chwili spojrzał nieznajomy na nią. Sprawiło to na Elizie bardzo przyjemne wrażenie. Już chciała odwzajemnić to spojrzenie, do czego młode piękne kobiety osobny w tajemnicy trzymany mają przywiléj, gdy nagle znowu ten sam sympatyczny dźwięk polskiéj mowy doleciał do jéj uszu. Trudno się było oprzéć wrodzonemu uczuciu, Eliza obejrzała się znowu za tym głosem i znowu nikogo nie zobaczyła. Fala przechodzących zmieniała się ustawicznie, zmieniały się ugrupowania i widoki i trudno było znaleźć kogoś, kogo obaczyć chciano. A gdy Elizie po raz wtóry to się nie powiodło, chciała wrócić do owego nieznajomego, który z widocznym interesem patrzał na nią... ale nieznajomego już koło niéj nie było!

Przeszła jeszcze z matką cały plac Ś. Marka kilkanaście razy do koła, słuchała i patrzała na wszystkie strony, ale sympatycznego polskiego głosu już nie usłyszała ani owego nieznajomego nie zobaczyła.

Wróciła późnym wieczorem do domu. Przy herbacie, przy któréj zazwyczaj ojcu dzienniki francuzkie czytała, przypominał się jéj nieustannie nieznajomy mężczyzna z dużem wyrazistem okiem i sympatyczny głos młodej kobiety. Łączyło się to jakoś razem w spomnieniach dnia dzisiejszego, chociaż w gruncie rzeczy nie mogło to mieć żadnego z sobą związku. Mężczyzna widocznie zakrawał na cudzoziemca, młoda kobieta była polką.

Od tego dnia miała Eliza w wycieczkach swoich już pewien interes. Ile razy kapelusz na głowę brała, myślała zawsze o możliwem spotkaniu nieznajomego albo owéj młodéj kobiety. W braku innego zajęcia było to dla niéj taką samą rozrywką, jaką dla biednego Włocha są ziarnka z arbuza, które sprzedają się na placach publicznych, a które on *passa tempo* nazywa. Za grosz dostanie tego specyału całą garść i bawiąc się łuszczeniem zjada go, dla rozrywki.

Takiem *passa tempo* była teraz dla Elizy myśl, że między przechodzącymi spotka owego nieznajomego i ową sympatyczną młodą polkę.

Czas jednak upływał, przechadzka następowała po przechadzce, przejażdżka wodą po przejażdżce, a upragnionego nieznajomego ani pożądanéj młodéj polki nie było nigdzie.

Od kilku dni była gęsta mgła nad wodą. W takim czasie cały ruch miasta koncentruje się na placu Ś. Marka i na *Riva dei Schavoni*. Eliza jak zwykle obeszła kilka razy brzeg *dei Scywoni* a potem na muzykę udała się na plac Ś. Marka.

Na placu było wiele przechodzących się. Eliza jak zwykle bawiła się swojem *passa témpo*, patrząc na prawo i na lewo, czy nie zobaczy gdzie swego nieznajomego lub owéj młodéj kobiety, któréj sympatycznego głosu zapomnieć nie mogła.

I właśnie dzisiaj spełniło się w części jéj pragnienie. Z pod trzeciéj arkady zaleciał do niéj ów znany dźwięk polskiéj mowy... Eliza przyspieszyła kroku... ale w téj chwili ozwały się głośno trąby muzykantów, którzy jak na nieszczęście z Wagnerem się dzisiaj produkowali. Huk bębnów i trąb zagłuszył wszystko, fala przechodzących zakręciła się w wir chaotyczny, a głos polskiéj mowy zginął gdzieś bez wieści. Prócz tego z drogi poszukiwania sprowadziło ją nowe wrażenie. Stojąca niedaleko grupa posługaczy ozwała się jednym chórem; *Eccola signora di san Marco*!

Eliza spojrzała w kierunku tego wykrzyku i obaczyła dziwną scenę, jakby żywcem wyjętą z naszego Tadeusza.

Na placu niedaleko arkad skupiło się liczniejsze zbiegowisko ciekawych. Pośród nich na wózku siedziała staruszka o siwych włosach, a przy niéj stała wysmukłéj postaci młoda kobieta. Chmura czarnych gołębi unosiła się nad niemi, a odważniejsze z nich spuszczały się na głowy i ramiona i tam siadały. Młoda kobieta trzymała na dłoni ziarnka jakiegoś zboża, a głodne gołębie walczyły nad nią o tę ucztę królewską.

Eliza zrozumiała teraz ten wykrzyk. Na kościele Ś. Marka, sąsiednim pałacu Doży i tak zwanych prokuracyach, gdzie tyle jest rzeźb marmurowych posągów i kolumn, gnieździ się niezliczone stado gołębi. Lud nazywa je gołębiami Ś. Marka. Ponieważ one w mieście składającem się z kamienia i wody żadnego prawie nie mogą mieć pożywienia, wierzy lud wenecki, że je Ś. Marek karmi. Życie więc tych świętych biednych pupilów Ś. Ewangielisty stoi pod opieką ogółu, a biedny *fachino* prędzéjby się z głodu utopił niżeli zjadł gołąbka ś. Marka.

Często jednak wyręczają ś. Marka mieszkańcy miasta, a nawet reprezentacya miejska coś tam dla tych ewangielickich biedaków w budżecie swoim przeznacza, ale to nie zachwiewa bynajmniéj wiary biednego gondoliera w opiekę i szczodrobliwość zacnego Ewangielisty.

Najczęściéj dzieci i starzy ludzie bawią się rzucaniem jadła owym gołąbkom ś. Marka. Są one z tego powodu tak oswojone, że siadają na ramiona i jedzą z ręki. Osobliwie do dzieci mają szczególną sympatyą. Każda matka musi o nich przy wyjściu z domu pamiętać, inaczéj przykryją jéj dzieci jak lawiną śniegu.

Zdaje się, że siedzącéj na wózku staruszce sprawiało to rozrywkę, jeżeli młoda jéj towarzyszka biedne gołąbki karmiła. Uśmiechała się do nich, brała je do ręki i głaskała.

Eliza patrzała na tę piękną scenę. Młodéj kobiety *Signora di san Marco* nazwanej nie mogła z twarzy widzieć. Widziała tylko jéj zgrabną wysmukłą figurkę i długie sploty włosów, które z pod lekkiego styryjskiego kapelusika na ramiona spływały. Włosy miały kolor jasny a nawet wpadały w czerwono złoty. Sądziła więc z tego że to Angielka.

Widowisko to trwało czas niejaki. Wreszcie nadeszła fala nowych spektatorów, gołąbki frunęły do marmurowych posągów i kolumn ś. Marka, a staruszka na wózku i młoda jéj towarzyszka o złotych włosach gdzieś także zginęły.

Eliza wróciła znowu do domu bez żadnéj spodziewanéj zdobyczy, chociaż usłyszany dźwięk mowy polskiéj odświeżył na nowo doznane, dawniejsze wrażenia.

Wreszcie po kilku dniach mgły i niepogody zajaśniało na niebie weneckiem złote słońce. *Canal grande* i wszystkie pobliskie wody zapełniły się gondolami. Wesoło brzmiały hasła gondolierów, plusk wioseł przypominał mimowoli jakąś wesołą melodya, a lśniące promienie słońca oświecały magicznem światłem rysujące się na niebie i w wodzie kopuły kościołów i marmurowe kolumny pałaców.

Pomiędzy gondolami, które długim łańcuchem przez *Canal grande* płynęły, była także gondola na któréj wraz z rodzicami siedziała Eliza.

Gondola polskiéj rodziny dzięki dawnemu rozkazowi rządu, nie odznaczała się niczem od innych gondoli. Była czarna, miała dziób stalowy jak wszystkie. Po rogach było trochę płaskorzeźby jak zwyczajnie. Za to odznaczali się gondolierzy. Obaj mieli liberyą czarną z szafirowemi wyłogami, na głowie mieli czarne marynarskie kapelusze z podwiniętemi do góry kresami obwiązane długą wstęgą błękitną. Jeden i drugi miał na lewéj ręce czarną przepaskę z posrebrzaną blachą na któréj błyszczał herb Jastrzębców.

Na tylnéj miękko wyścielonéj ławce rozpierał się paralityk z całą godnością lorda obok niego siedziała z dystynkcyą wielkoświatowéj damy pani Apolonia w szaréj sukni *rabe de voyage*, ubranéj szafirowemi taśmami, a na małym taborecie opierając się o ścianę gondoli, zajęła strategiczne miejsce Eliza. Mogła ona z tamtąd widzieć tych wszystkich, którzy przed nią lub za nią płynęli. Miała na sobie białą zarzutkę z puszastéj wełnianéj materyi, takiéj saméj barwy miękki pilśniowy kapelusz styryjski z szarem mocno w tył pod anem piórem. Wyglądała bardzo ładnie jak biały łabędź, gdy po cichéj fali płynie. Czarne jéj włosy odbijały ostro od białéj barwy całego ubrania.

Przejażdżka po *Canal grande* nastręczała tyle pięknych, czarujących widoków: marmurowe pałace dawnych weneckich *nobili* stawały szeregiem i cofały się podczas gdy inne nadchodziły, gondole z liberyą różnobarwną mijały się i krzyżowały, a pośród nich jak czarne potwory przesuwały się okręty i galary towarowe zamieniając między sobą jakieś tajemnicze, tylko sternikom i gondolierom znane hasła... Wszystko to sprawiało widok nadzwyczaj uroczy bawiło oko, rozrywało najczarniejsze myśli... skazanych na śmierć pacyentów którym już apteka pomódz nie mogła...

Mimo to wszystko miała Eliza czas jeszcze myśléć o tajemniczym nieznajomym swoim, przy którym mimowoli przychodziła jéj znowu przed oczy owa tułacza kobieta z tym sympatycznym dźwiękiem mowy polskiéj...

I gdy właśnie o tem myślała, wyminęła ich szybko płynąca gondola z bladożółtą liberyą. Gondolierzy zamienili z sobą zwykłe hasło ostrożności a bladożółta liberya pomknęła naprzód.

Eliza nie mogła widzieć siedzących w gondoli, bo gondola miała budkę oszkloną. Promienie słońca łamały się na szybach, przez które nie można było wewnątrz nic obaczyć. Gondola zajęła drugie miejsce przed nimi, a ponieważ kilkanaście bark dążyło właśnie z słodką wodą do miasta, potrzeba było niejakiś czas w takim porządku daléj płynąć.

Elizę zaczęła już nudzić ta jednostajność, gdy nagle zwróciło coś całą jéj uwagę. Po prawéj stronie przy marmurowych schodach jednego z starych pałaców stała gondola w pogotowiu. Jeden z gondolierów założył wiosło na pal wystający z wody, aby gondola od schodów nie odpłynęła, a drugi był w pogotowiu odepchnąć na dany rozkaz gondolę od brzegu.

Na schodach pod kolumnami stał wysokiego wzrostu mężczyzna z czarnym zarostem na twarzy i patrzał na płynących środkiem wody przez lornetkę.

Gondola z białą liberyą, która na żałobę zakrawała, i stójący pod kolumnami pałacu mężczyzna, zwróciły na siebie całą ciekawość Elizy. Przyłożyła lornetkę do oczu i poznała swego nieznajomego. Serce uderzyło jéj niespokojnie a do zaczętéj nigdy nie drukowanéj powieści kobiecéj przybyło kilkadziesiąt wierszy bardzo ładnych i ciekawych!...

Po chwili zdawało się Elizie, że nieznajomy przechodząc koleją płynące przed nim gondole, spojrzał także i na gondolę z szafirową liberyą... i natychmiast do swojéj gondoli wskoczył.

Na rozkaz pana odepchnął gondolier silnie łódź od marmurowych schodów a drugi z całą siłą skierował ją prosto ku gondoli polskiéj rodziny...

Zdawało się Elizie, że oprócz wszystkich, niegdyś w listach do przyjaciołek opisywanych efektów dla niezapomnianego Alfreda, nigdy jeszcze nie doznała podobnego uczucia jak teraz. Młoda wdowa była pewna, że w téj chwili ma szesnaście lat, i że po raz pierwszy serce jéj tak rozkosznie uderzyło!...

Jakiż to bowiem uroczy obraz roztaczał się przed nią! Ku niéj na lotnéj gondoli płynie mężczyzna urodziwy, jakby żywcem z powieści wycięty, a za nim w perspektywie w szmaragdowych falach morza, rysują się marmurowe kolumny pysznego pałacu, olbrzymie karyatydy podtrzymujące z całem wysileniem portyk olbrzymi...

Gondola nieznajomego zmierzała wprost na jéj gondolę, chciała nawet obok niéj płynąć, ale transport wody dla miasta i innych towarów zmusił ją do zajęcia miejsca zaraz za nią...

Eliza siedziała teraz bokiem do nieznajomego. Mogła wygodnie widzieć go i być widzianą. Pod każdym względem był to człowiek niepospolity. Mógł liczyć trzydzieści kilka lat, a więc co najmniéj był od niéj starszy o lat kilka. Postawa i ruchy okazywały człowieka należącego do wyższych sfer towarzyskich. Poznać to można było także po liberyi gondolierów, która z blizka przedstawiła się granatową z białą odmianą. Na rękach gondolierów był herb na złoconéj blasze. Sam właściciel tego herbu i gondoli był bardzo przystojny. Miał twarz bladą o rysach regularnych. Czarne wyraziste oczy patrzały z pewną namiętnością z pod brwi krzaczystych.

Eliza do swojéj kobiecéj, nigdy nie drukującéj się powieści, dodała naprędce kilka rozkosznych rozdziałów. Składały się na nie piękne marzenia młodéj wdowy i młodszego jeszcze serca, które jak feniks ma zawsze z nieśmiertelnych odradzać się popiołów!...

Rozkoszny ton a żadnym słowem nie ujęty stan duszy trwał dosyć długo. Kilkanaście gondoli, jakby się z sobą zmówiły, płynęły jedną i tą samą drogą, zachowując także jeden i ten sam porządek. Zdążono naprzód do mostu przy kolei żelaznéj, z tamtąd zawrócono na północną stronę miasta, a zostawiając *Murano* i cmentarz po lewéj ręce, skierowano się na około ogrodu publicznego na samym cyplu południowym miasta, pomiędzy wyspą *Ś. Giorgio a Riva dei Schiavoni* i przybito do *Molo* u stóp lwa św. Marka, gdzie jest zwykła stacya gondolierów.

Gdy polska rodzina po marmurowych schodach z gondoli na *piazzettę* w towarzystwie jednego herbowego gondoliera dążyła, chciała Eliza za swoim nieznajomym spojrzeć, ale przeszkodziło jéj słońce. Promienie słońca tak jaskrawo odbijały się w szmaragdowem zwierciadle wód morskich, że po za niemi nie można było nic obaczyć. Cały szereg gondoli wraz z nieznajomym utonął w jasnéj, tęczami czasem pobłyskującéj przezroczy, a zanim Eliza prowadząc ojca dalej brzegiem, dogodniéjszy punkt do patrzenia zdobyć mogła, zastała już fale morskie puste i lekko tylko pokarbowane ale bez gondoli i bez swego zagadkowego nieznajomego.

(d. c. n.)

KONSTANTYNOPOL.

(Wyjątki z dzieła pod tymże tytułem przez Edmonda de Amicis)

PRZEZ

Joannę Belejowską.

(Dalszy ciąg).

Trzeba zacząć go zwiedzać od pierwszego wzgórza, stanowiącego szczyt trójkąta i oblanego morzem Marmora; jest to że tak powiem głowa Stambułu, dzielnica pomnikowa, pełna świata, wspaniałości i wspomnień. Gdzie niegdyś wznosiło się Byzancyum ze swą górującą nad miastem warownią i świątynią Jowisza, a następnie pałac cesarzowéj Placydy i Termy Arkadiusza, stoi dawny Seraj; tam Ś. Zofia i meczet Achmeta oraz *Atmeiden* największy z placów rozciągający się na miejscu starożytnego Hipodromu, gdzie wśród Olimpu z bronzu i marmuru, przy okrzykach tłumów strojnych w jedwabie i purpury, złote rydwany przesuwały się przed cesarzami lśniącymi od złota i pereł. Z tego wzgórza zstępuje się w niewielką dolinę, gdzie roztaczają się zachodnie mury seraju zaznaczające granice starożytnego Bizancym i gdzie wznosi się Wielka-Brama (Wysoka-Porta) przez którą przechodzi się do pałacu W. Wezyra i do ministerstwa spraw zagranicznych; jest to dzielnica poważna i milcząca, jakby przedstawiająca smutne losy państwa. Z téj doliny wchodzi się na drugie wzgórze, gdzie stoi marmurowy meczet Nuri-Osmanich (światło Osmana) i spalona kolumna Konstantyna, która podtrzymywała bronzowego Apollina, z głową wielkiego cesarza i wznosiła się w środku starożytnego Forum, otoczona portykami, łukami tryumfalnémi i posągami. Po za tém wzgórzem leży dolina bazarów, ciągnąca się od meczetu Bajazeta do meczetu Walidy, i obejmuje bezmierny labirynt ulic, pełnych ludzi i wrzawy. Na trzeciem wzgórzu, dominującém w jednym punkcie nad morzem Marmora i Złotym Rogiem, wznosi się kolosalny meczet Solimana, godny współzawodnik meczetu Ś. Zofii, oraz prześliczna wieża ministerstwa wojny, wzniesiona na gruzach starożytnych pałaców Konstantynów, w których mieszkał czas jakiś, Mahomet Zdobywca, a następnie obrócone zostały na seraj dla starych sułtanek. Między trzeciém a czwartém wzgórzem ciągnie się jakby most powietrzny, ogromny kanał cesarza Walensa, utworzony z dwóch szeregów lekkich arkad pokrytych zielenią, zwieszającą się zwojami na leżące w dolinie domy. Pod tym kanałem przechodzi się na czwarte wzgórze. Tu na zgliszczach sławnego kościoła ŚŚ. Apostołów, założonego przez cesarzową Helenę a przebudowanego przez Teodorę, wznosi się meczet Mahometa II, otoczony szkołami, szpitalami, zajazdami dla karawan; obok meczetu, bazar niewolników, łaźnie Mahometa i granitowa kolumna Marciana, na marmurowym jéj szczycie, błyszczą jeszcze orły cesarskie. Obok téj kolumny roztacza się Atmeidan, gdzie dokonaną została słynna rzeź janczarów. Meczet Selima zbudowany jest na piątém wzgórzu, w pobliżu starożytnéj citerny Ś. Piotra, zamienionéj w ogród. Poniżéj, wzdłuż Złotego-Rogu, ciągnie się Fanar, dzielnica grecka, stolica patryarchatu, gdzie miały miejsce straszne rzezie w 1821 r. Po za piątą doliną leży siódme wzgórze, zajmowane kiedyś przez 40,000 Gotów Konstantyna. Na siódmém wzgórzu sterczą jeszcze mury pałacu Konstantyna Porphyrogeneta, gdzie koronowano cesarzów, które dziś Turcy nazywają Tekir-Serai, pałac książąt. U stóp tego wzgórza leży Galata, Konstantynopolskie ghetto, brudna dzielnica, ciągnąca się wzdłuż wybrzeży Złotego Rogu aż pod mury miasta. Po za Galata roztacza się starożytne przedmieście Blakernes, ulubione miejsce pobytu cesarzów, gdzie niegdyś stały pałace o złoconych dachach, słynny ogromny kościół cesarzowéj Pulcheryi i kaplica relikwi, dziś zasłane zgliszczami. Daléj jeszcze przedmieście Ortaksiler i przedmieście Eyuba. Oto cały Stambuł.

Jest on piękny, zachwycający, wspanialszy i całkiem odmienny od najokazalszych stolic, ale serce się ściska na myśl że niezmierzony ten gród azyatycki roztacza się na ruinach téj drugiéj Romy, tego olbrzymiego muzeum skarbów wydartych Włochom, Grecyi, Egiptowi, Azyi-Mniejszéj, których samo wspomnienie olśniewa umysł jak niebiańskie marzenie. Gdzież owe wielkie portyki ciągnące się przez miasto od morza do otaczających murów, złocone kopuły, kolosalne posągi wznoszące się na olbrzymich kolumnach przed teatrami i termami, bronzowe sfinksy rozsiadłe na porfyrowych podstawach, świątynie i pałace wznoszące swe granitowe frontony w pośród całéj rzeszy marmurowych bogów i srebrnych cesarzów? Wielkie bronzowe posągi przetopiono na działa, złoconą miedź obelisków na monetę: sarkofagi cesarskie zamieniono w fontanny; kościół Ś. Ireny na arsenał; piedestał kolumny Arkadiusza na kuźnię; Hipodrom na targ koński. Bluszcz i gruzy pokrywają fundamenta pałacy cesarskich; miejsca gdzie wznosiły się amfiteatra zarosła trawa cmentarna, i tylko tu i owdzie napisy strawione pożarem lub zrąbane bronią zaborców, przypominają że na tych wzgórzach wznosiła się kiedyś wspaniała metropola cesarstwa Wschodniego, Na tych zgliszczach, niby odaliska na grobie, rozsiadł się Stambuł czekając póki i jego godzina nie wybije.

Przedstawiwszy stolicę ottomańskiego Państwa, jaką jest obecnie, powiedzmy słówko o jéj przeszłości. W najdawniejszych czasach nosiła ona nazwę Byzancyum, i według Euzebiusza Pamphili założona została około roku 658, przez Byzasa, króla megarejskiego. Z początku miasto roztaczało się na jednym tylko pagórku, zwanym obecnie Szczytem Serajowym i długo było małoznacznem, aż dopiero cesarz Konstantyn W. w roku 330 po naro. Jez. Chr. podniósł go do godności stolicy cesarstwa Rzymskiego i od swego imienia nazwał *Kostantynopolis* albo *Nowym Rzymem* (Nova Roma). Odtąd aż do chwili upadku, t. j. 1453 r. był świetną stolicą cesarstwa Rzymskiego, późniéj Wschodniego, ogniskiem sztuk i przepychu. Od czasu zawojowania, Konstantynopol był zawsze rezydencyą sułtanów i Turcy nadali mu nazwę *Stambul* albo *Islambol* co znaczy obfitość islamu. Przez Wołochów zaś i Słowian tureckich zwany jest *Carogrodem.*

Za czasów ottomańskiéj świetności i chwały, Bosfor nie był pokryty białémi żaglami, nie unosiły się nad nim kłęby czarnego dymu, zasępiające lazur wód i nieba. W portach i zatokach morza

Marmora, w pośród starych wojennych statków ze srebrnémi półksiężycami i wysokiemi złoconemi latarniami, unosiły się strzaskane i zakrwawione szkielety galer genueńskich, weneckich i hiszpańskich. Nie było mostu po nad Złotym Rogiem, tylko z jednego brzegu na drugi przepływały nieustannie miriady małych wykwintnych łodzi, w pośród których jaśniały zdaleka szalupy serajowe, pokryte szkarłatnemi baldachinami, oszyt emi złotą frendzlą i powożonych przez strojnych w jedwabie wioślarzy. Skutari wówczas było jeszcze wioską; po za Galatą widać tylko było rozproszone domki wiejskie; wspaniałe pałace nie wznosiły jeszcze swych dumnych frontonów po nad doliną Pera, wielki gród nie był tak okazały jak obecnie, ale wyglądał więcéj wschodnio.

Ponieważ wówczas obowiązywało jeszcze prawo o kolorach, zatém po barwach domów można było poznać religią ich mieszkańców. Wyjąwszy gmachów publicznych i świętych jak śnieg białych, cały Stambuł był żółty i czerwony; dzielnica armeńska była jasno-popielata, grecka ciemno szara, żydowska fioletowa. Przedmieścia nie wyrugowały jeszcze bogatéj roślinności ze wzgórz na których się rozsiadły, a cały Konstantynopol wyglądał jakby miasto kryjące się wśród lasu. Przerzynały go wązkie tylko uliczki a wśród nich widać było same ogromne turbany, nadające męzkiéj ludności kolosalną i okazałą postać. Wszystkie kobiety, z wyjątkiem jednéj tylko matki sułtana, zasłaniały twarze tak szczelnie że same tylko oczy widać im było, przez co wyglądały jak żyjące zagadki.

Surowe prawo określało właściwy każdemu ubiór, przeto z formy turbanów i barwy kaftanów można było poznać klasę, stopień, zajęcie i wiek każdego. Ponieważ nie znano jeszcze powozów, spotykało się po ulicach tysiące jeźdźców konno, i tysiące wielbłądów dromaderów z bagażami armii, we wszystkich kierunkach przeciągające przez miasto, nadające mu dzikie wejrzenie, wspaniałej i starożytnéj azyatyckiéj metropoli. To znów przechodzili gromadnie jeńcy różnych narodowości, brzęcząc łańcuchami w jakie okuto ich na polu bitwy. Baszowie, beyowie, agowie, musselimy, mnóstwo dostojników i wielkich panów, ustrojonych z teatralnym przepychem, otoczonych licznym orszakiem służby, przedzierali się przez tłumy, kornie pochylające przed nimi głowy, jak zboże pod powiewem wiatru. To znowu, książęcym otoczeni orszakiem, szli ambasadorowie różnych państw europejskich, prosić o pokój lub przymierze; dalej karawany obciążone podarunkami królów azyatyckich i afrykańskich; roje pysznych wojowników, wlekących za sobą ogromne pałasze zbroczone we krwi dwudziestu ludów. Tu i owdzie spotykało się żydów niosących do Bosforu ciała skazanych na śmierć; w Calik-bazar, co rano można było zobaczyć leżące na ziemi martwe zwłoki, z głową pod pachą, z przyciśniętym kamieniem na piersiach wyrokiem, a w nocy można się było potknąć o jakiegoś biedaka z połamanémi maczugą rękami i nogami, wyrzuconego tam po zadanéj męczarni. We dnie, przed sklepami, widzieć się zdarzało nieraz ich właścicieli, przybitych do drzwi za ucho, za oszukiwanie w handlu, a że wtedy jeszcze prawo nie ujęło w karby nieograniczonéj swobody grzebania zmarłych, więc o każdéj dnia godzinie można było spotkać kopiących mogiły i chowających w nich zmarłych, na ulicach, placach, w ogrodach lub przed drzwiami domów.

Niekiedy jakiś dygnitarz dworski, wszedłszy na natłoczoną tłumem ulicę, zbladł nagle zobaczywszy wchodzących do sklepu sześciu mężczyzn z pozoru dość biednie się wydających: był to sam sułtan, czterech oficerów i kat, chodzący od sklepu do sklepu dla sprawdzenia miar i wag. Cały Konstantynopol wrzał pletorycznem, gorączkowém życiem. Skarbiec przepełniony był klejnotami, arsenały bronią, koszary żołnierzami, karawanseraje podróżnymi; targ niewolników mrowił się pięknościami; uczeni cisnęli się do wielkich meczetowych sal archiwów; poeci opiewali wojenne czyny i miłostki sułtanów; niezliczone zastępy Bulgarów i Armeńczyków pracowali nad wznoszeniem meczetów z olbrzymich złomów granitu egipskiego i marmuru z Paros, do których prowadzono morzem kolumny ze świątyń Archipelagu, a lądem łupy z kościołów Pesztu i Budy.

W porcie przygotowywano do odpłynięcia flotę, mającą szerzyć postrach na wszystkich wybrzeżach morza Śródziemnego, między Stambułem a Adryanopolem uwijały się kalwakaty złożone z siedmiu tysięcy sokolników i strzelców, i w przestankach między buntami wojska, odległémi wojnami, pożarami obracającemi w perzynę dwadzieścia tysięcy domów w ciągu jednéj nocy, obchodzono trzydziesto-dniowe uroczystości, w obec pełnomocników wszystkich krajów Afryki, Azyi i Europy. Podczas takich zabaw zapał muzułmanów dochodził do szaleństwa. W obec sułtana i jego dworu, w pośród olbrzymich palm, całych stert darów królewskich znoszonych z całego świata, między szeregami lwów i syren cukrowych ciągniętych końmi pokrytémi srebrnym adamaszkiem, odbywały się udane walki janczarów, szalone tańce derwiszów, krwawe utarczki chrześcian, uczty ludowe z dziesięciu tysięcy *kukussu*. Słonie i żyrafy tańcowały w hipodromie: puszczano pomiędzy tłumy niedźwiedzie i lisy z przywiązanémi do ogonów racami. Z zapadnięciem nocy zabawa przeradzała się w jakiś wściekły szał, a pięćdziesiąt lśniących światłem meczetów, roztaczało po nad całém miastem jakby ognistą aureolę, zwiastującą pasterzom Azyi i żeglarzom Propontidy szalone orgie nowego Babilonu. W porównaniu z dawnym, dzisiejszy Stambuł jest jakby zestarzałą królową, chorującą na hipokondrią.

VII.

Galata.

Galata zbudowana jest na wzgórku stanowiącym przylądek między Złotym-Rogiem a Bosforem, w miejscu gdzie kiedyś był cmentarz dawnych Byzantczyków. Jest to *City* Konstantynopolska. Wszystkie prawie ulice są wązkie i kręte, przy nich mieszczą się szynki, sklepy z pasztetami, kawiarnie greckie i armeńskie, golarnie, jatki, komptuary negocyantów, bióra, baraki, a wszystko to ponure, wilgotne, błotniste; śpieszące się i zakłopotane tłumy uwijają się po ulicach w tę i w ową stronę, ustępując się co chwila dla przepuszczenia tragarzy, powozów, osłów, omnibusów. Cały niemal handel Konstantynopola przechodzi przez to przedmieście. Tu mieszczą się: giełda, komora celna, bióra Lloda austryackiego i francuzkich Messageries; kościoły, zakony, szpitale, sklepy, magazyny. Podziemna droga żelazna łączy Galatę z Pera, gdyby nie turbany i nie fezy, nie możnaby się domyśléć że jesteśmy na Wschodzie. Gdzie się zwrócić słychać mowę francuzką, włoską, angielską. Genueńczycy są tu jak u siebie i dotąd przybierają bardzo dumne miny, jakby za czasów, gdy według swego uznania, zamykali porty, a na groźby cesarskie odpowiadali ogniem działowym. Lecz z dawnéj ich potęgi nie pozostało tu nic jak tylko kilka starych domów podpartych grubemi filarami i ciężkiémi arkadami, oraz starożytny gmach w którym mieszkał podestat. Dawna Galata znikła prawie bez śladu. Zwalono z tysiąc nędznych domków dla przecięcia dwóch długich ulic; jedna przecina wzgórze od strony Pera, druga ciągnie się równolegle nad brzegi morza, z jednego na drugi koniec Galaty.

Na ulicach tych co chwila trzeba chronić się do sklepów, dla przepuszczenia wielkich omnibusów, które poprzedza Turek laską robiący drogę. Co krok nowy krzyk odzywa się za uszami. Tragarz turecki krzyczy: „Sakun ha!“ (z drogi); armeński nosiciel wody: „Varme su!“ Grek roznoszący wodę: „Krio nero! Turek wiodący osła: „Burada! roznosiciel chłodników: „Cherbet! przedający gazety: „Neologos! furman europejski: „Guarda! guarda! Zaledwie dziesięć minut upłynie, można prawie ogłuchnąć.

Doszedłszy do pewnego miejsca uważałem z zadziwieniem, mówi p. de Amicis, że bruk się skończył i zdawało się że świeżo został wyrzucony: towarzyszący mi znajomy objaśnił co dało do tego powód. Ulica ta prowadzi do pałacu sułtana. Nie dawno temu przejeżdżał nią orszak cesarski i koń J. C. Mości Abdul-Aziza potknął się o kamień, czém rozgniewany sułtan, kazał natychmiast wyrzucić bruk, od owego miejsca aż do swego pałacu.“

Przez szereg ciasnych, ponurych i brudnych przejść, przechodzi się z téj ulicy do wieży Galata; jest ona okrągła, bardzo wysoka, ciemnego koloru, zakończona szczytem stożkowatym utworzonym z miedzianego dachu; opatrzona jest szerokiémi oknami stanowiącémi rodzaj tarasu, gdzie noc i dzień stoi strażnik obowiązany dawać znać gdy dojrzy gdziekolwiek w obrębie ogromnego grodu, choćby najlżejszy ślad pożaru. Galata Genueńczyków sięgała do téj wieży, wznoszącéj się właśnie na linii murów oddzielających Galatę od Pera, z których dziś nie ma i śladu. I sama wieża nie jest to już owa starożytna wzniesiona na cześć poległych w boju Genueńczyków gdyż przebudował ją sułtan Mahmud II, a następnie była restaurowana przez Selima II,

Minąwszy zaledwie wieżę, wchodzi się na cmentarz muzułmański. Jest to wielki lasek cyprysowy, spuszczający się dość nagle z wierzchołka pagórka Pera aż do Złotego-Rogu. W cieniu cyprysów kryją się miriady małych kamiennych i marmurowych słupków, pochylonych w różnych kierunkach i rozrzuconych bezładnie od wierzchu do podnóża wzgórza. Niektóre z tych słupków zakończone są jakby zaokrąglonym turbanem, i widać jeszcze na nich ślady barw i napisów; inne mają szczyt śpiczasty, inne jeszcze są przewrócone. Większość mogił odznacza tylko ziemia usypana w kształcie graniasto-słupa, na którego obu końcach leżą dwa kamienie. Zabobonni muzułmani mniemają, że na tych to kamieniach siadają dwaj aniołowie Nekir i Munkir, dla sądzenia duszy zmarłego. Gdzie nie gdzie, widzieć się dają takie mogiły otoczone nizkim murkiem lub baryerą, a wśród nich jedną większą pokrytą wielkim turbanem: to familijny grób jakiegoś baszy lub wielkiego pana, pochowanego obok swych żon i dzieci.

Cały lasek przerzynają krzyżujące się wązkie ścieżyny; tu i owdzie siedzi pod drzewem jakiś Turek palący fajkę; dzieci biegające wesoło wśród grobów; pasące się krowy; stada synogarlic gruchających wśród cyprysów; gromadki zasłoniętych yachmakami kobiet, a z pomiędzy gałęzi Złotego-Rogu i białe minarety Stambułu.

(d .c. n.)

O niektórych zabytkach

literatury staro-egipskiéj

przez

L. Szczerbowicza Wieczora.

(Dokończenie).

Od poezyi religijnéj przejdźmy do poezyi świeckiéj, a mianowicie bohaterskiéj. Król Ramzes II, jeden z największych wojowników i zdobywców (około 1650 roku przed Chr.) znalazł swego Homera w osobie poety imieniem Pentaur (zdaje się, że jest to imię to samo co Putyfar, w Septuagincie Penthorios). Poeta był spółczesnym i jak się zdaje, dworakiem swego bohatera, a więc nad Nilem, nie trzymano się téj zasady; że co ma żyć w pieśni ma umrzéć w życiu — może być wziętém tylko z odległéj przeszłości. Zachowany ułamek z epopei Pentaura wypisanym jest na ścianie jednéj ze świątyń w Abu Simbel, a oprócz tego doszedł do naszych czasów w rękopiśmie papyrusowym pisanym kursywą, a znajdującym się obecnie w muzeum brytańskiém. Ułamek zawiera około tysiąca wierszy i ma niepoślednią wartość poetycką, posiadając wiele cech epopei, wspólnych z cechami wcześniejszych nieco poematów indyjskich (Mahabharata i Remajana) i daleko późniejszych utworów homerycznych. Utwór Pentaura nie jest rymowaną historyą, gdyż treść jego przesiąkła cudownością i udziałem bóstw w sprawach ludzkich, zupełnie tak samo jak treść Iliady. W dochowanym ułamku poeta wysławia bohaterstwo króla Ramzesa, który w piątym roku swego panowania, znajdując się na wyprawie zdobywczéj w Syryi wciągniony w zasadzkę przez zdradzieckich Khetajczyków (semitów chanaańskich) i opuszczony przez własne wojsko, sam jeden, przy pomocy bożka Ra, odnosi zwycięztwo nad 2,500 wozów wojennych nieprzyjacielskich i ujarzmia całą Syryą. Król modli się do bożka, który uważany był za ojca wszystkich faraonów i wzywa jego pomocy, przypominając swoje ofiary i wzniesione przez siebie świątynie — zupełnie temiż prawie słowy, jakich używają bohaterowie Iliady; Ra przemawia również do króla podobnie jak Zeus lub Apollo do bohaterów homerycznych; opis odmętu walki, i nadzwyczajne męztwa Ramzesa, słowa, któremi król gromi tchórzliwość swego orszaku — wszystko to również możnaby uważać za pierwowzór odpowiednich opisów i ustępów Iliady.

Z téj samej epoki i z tegoż panowania pochodzi kilkanaście innych papyrusów. Jeden zawiera najdawniejszy w świecie opis podróży jednego z dostojników egipskich, który z polecenia króla zwiedził Fenicyą, Syryą i Palestynę, podległe wówczas faraonom. W drugim rękopiśmie zawiera się opis marszu wojsk egipskich na brzegi morza Martwego. Trzeci papyrus jest cząstką aktów procesu, wytoczonego o zdradę stanu pewnéj liczbie dworaków Ramzesa, których, przy końcu panowania tego króla, oskarżono o jakieś sprzysiężenie i udział w intrydze haremowéj. Czwarty rękopism obejmuje zbiór listów bibliotekarza królewskiego, Amenemana, do wymienionego powyżéj poety Pentaura. Ciekawy ten zabytek stwierdza raz jeszcze ten znany wynik badań historycznych, że czasy największéj sławy wojennéj i podbojów bynajmniéj nie są epoką kwitnięcia państwa, ale przeciwnie początkiem upadku. Religia, sztuka, literatura i stan socyalny Egiptu, począwszy od Tutmezysów, Setysów i Ramzesów, dostarczają téj prawdzie niezbitych dowodów. Oto np. jakiemi słowy maluje Amenman stan ludu w Egipcie za panowania faraona zdobywcy.

„Czy kiedykolwiek starałeś się powziąć o tém wyobrażenie, pisze bibliotekarz do poety — jakim jest stan uprawiającego ziemię rolnika? Nim nastąpi czas żniwa, już owady zniszczą mu znaczną część plonu. Na polach gnieździ się mnóstwo myszy; do tego dodaj szarańczę, zwierzęta zjadające zboże, wróble tłumnie osiadające na snopach, ilekroć rolnik zaniedba prędko zebrać je z pola. Następnie przychodzą złodzieje i zabierają resztę. Koń rolnika upada że znużenia, ciągnąc wóz ze zbożem. Poborca podatków zjawia się u przystani, w towarzystwie zbirów z pałkami i murzynów z gałęziami palmowémi. Cały ten tłum krzyczy: „oddaj nam swoje zboże“ i rolnik nie ma sposobu uniknąć tego ucisku. Następnie chwytają go, krępują i wloką gwałtem do robót przy kanale; tak samo wloką związaną jego żonę, a dzieci porywają.“

Piękny to zaprawdę i zacny głos — jeden z tych szczytnych błysków uczucia swobody i humanizmu, które właśnie troskliwie śledzimy. Przynosi to zaszczyt Amenemanowi, który może pierwszy na świecie, 35 wieków temu, tak wymownémi słowy ubolewał nad nędzą i niewolą ludu, w czasach, gdy niewola była zjawiskiem powszechném i podstawą bytu społeczeństw, pośród rasy chamickiéj, par excellence niewolniczéj. Powyższy obraz smutnego stanu wieśniaków egipskich za Ramzesa jest i dziś jeszcze, niestety, prawdziwym względem fellahów teraźniejszych: niebrak analogii i co do robót przymusowych, gdyż i teraz fellahowie giną tysiącami przy budowie kanałów (np. Suezkiego) i kolei żelaznych, jak ich przodkowie ginęli, budując piramidy i potwornych rozmiarów gmachy.

Stan wojskowy miał również powody skarżyć się na swój los: podobne skargi przechowały się w znajdującym się obecnie w muzeum turyńskiém rekopiśmie, który jest zbiorem rozmaitego rodzaju utworów ćwiczeń literackich. Posłuchajmy, jak skarży się oficer egipski z czasów Ramzesa II (w utworze wierszowanym).

„Chcę ci odmalować niezliczone cierpienia oficera piechoty. Już w latach młodzieńczych zamykają go do koszar. Gniotący pancerz otacza mu ciało, hełm cięży mu na głowie, a przyłbica zwiesza się na brwi; tak zabezpieczają jego głowę od ran. Młodzieniec jest skrępowany, niby zwitek papyrusu i poruszenia jego w boju są utrudnione. Mamże ci opowiadać o jego wyprawach do Syryi, o marszach do krajów odległych? W czasie tych wypraw musi on dźwigać na ramionach wodę, jak osieł swoje brzemię. Plecy jego są obrzmiałe, jak grzbiet bydlęcia jucznego, kość pacierzowa jest wykrzywiona. Zaledwie ma czas ugasić pragnienie zepsutą wodą, a już musi spieszyć na wartę nocną. Gdy przyjdzie do spotkania z nieprzyjacielem, żołnierz podobny jest do gęsi uwikłanéj w sieci i członki jego nie mają siły. Gdy wraca już do Egiptu, jest podobnym do drzewa, które stoczyły robaki. Gdy owładnie nim choroba, kładną go na osła, rzeczy jego rozchwytują złodzieje, a sługi go opuszczają.“

Tak więc, spółcześnie z wysławiającym tryumfy Ramzesa Pentaurem, inny poeta-żołnierz wypowiada godną podziwienia, jak na owe czasy, ukrytą, a jednak widoczną w powyższych słowach myśl, że świetne podboje Faraonów okupione są cierpieniami tysięców.

Z nieco późniejszéj epoki pochodzi najdawniejszy kalendarz astrologiczny, zawierający wykaz dni szczęśliwych i feralnych, wskazówki, co kiedy czynić, a od czego wstrzymać się należy wskutek nieprzychylnego zbiegu planet i t. d.

Nawet powieści i bajki wykryto niedawno pomiędzy papyrusami: tak Ebert znalazł kilka lat temu powiastkę, bardzo przypominającą biblijną historyą Józefa i Putyfarowéj, a może nawet właśnie tę samą historyą. Inne papyrusy zawierają krótkie klechdy i bajki, po większéj części treści mytologicznéj.

Co do literatury naukowéj, do naszych czasów przetrwało bardzo niewiele jéj zabytków. Najznakomitszym jest znajdujący się w muzeum berlińskiém papyrus medyczny; mamy także kilka próbek dzieł geometrycznych i astronomicznych. Literatura egipska kwitnęła, jak się zdaje, zgodnie z tém co powiedzieliśmy powyżéj o wpływie podbojów, tylko do czasów XX dynastyi (do 1300 r. przed Chr). W czasach późniejszych zapewne także pisano dzieła, ale mało co o nich wiemy i oprócz wzmiankowanych powyżéj „ksiąg wędrówek“ w skróconéj redakcyi, nie doszło do nas nic z owéj późniejszéj epoki. Pisarze greccy wspominają często o księgach egipskich; mówiliśmy już wyżéj o bibliotekarzu królewskim: w pałacu Ramaseum (w Tebach) odkryto salę biblioteczną, choć na nieszczęście, pustą — wszystko to świaczy o rozpowszechnieniu i obfitości rękopismów w starożytnym Egipcie i o tém, że te, które do naszych czasów doszły — a wymieniliśmy je prawie wszystkie w niniejszym artykule — stanowią bardzo nieznaczną cząstkę literatury egipskiej. Nietrwałość materyału niezawodnie była jedną z głównych przyczyn, że rękopismy papyrusowe nie zdołały przetrwać tylu wieków: gdyby Egipcyanom był znany pergamin, niezawodnie posiadalibyśmy nieco więcéj tych szacownych i ciekawych zabytków. Wielki pożar biblioteki aleksandryjskiéj, gdzie zapewne, oprócz greckich, było także wiele książek egipskich, wyrządził nam także stratę niepowetowaną; tylko że ten pożar miał miejsce za czasów Juliusza Cezara (47 r. przed Chr.) nie zaś, jak zwykle sądzą, w 600 lat późniéj za kalifa Omara, którego mniemany rozkaz opalania łaźni rękopismami, krytyka historyczna policzyła już do rzędu nieuzasadnionych baśni.

Obecnie, gdy nauka dostarcza sposobów odczytywania rękopismów już prawie w proch rozsypujących się i niezmiernie delikatnego z témi szacownémi szczątkami postępowania, jest nadzieja że nasza wiedza o literaturze starego Egiptu zbogaci się jeszcze nowémi odkryciami.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

W ubraniach tegorocznych pojawiły się dwie nowości: pierwszą z nich stanowią rogówki używane do strojnych sukien, drugą kostiumy na ulicę, krótkie, niedotykające nawet ziemi. Powiedzmy naprzód o rogówkach: moda ich nie stała się jeszcze ogólną sądzimy jednak że się niedługo upowszechni. Są to, owe koszyki, *paniers*, które widzimy na portretach prababek naszych, rozszerzające suknię na biodrach, a tém samém uwydatniające wcięśość stanu.

Przytaczamy opis podobnéj sukni, przeznaczonéj na obiad proszony lub na wieczór. Składa się z gładkiéj materyi *pout de soie* w dwóch kolorach: ciemno *caroubier* i śmietankowym czyli *crême*. Przedni bryt spódniczki, przybrany u dołu pięcioma falban-

kami z plisowanéj koronki bretońskiej; w odstępach wpięte dwoma rzędami, kokardy z atłasowéj wstążki *caroubier*. Na to spada wązki fartuszek, przymarszczany po bokach, ogarnirowany w koło koronką bretońską w rzęsiste kontrafałdy. Tylne bryty z materyi *caroubier*, ogarnirowane u dołu trzema plisowanemi falbankami, tworzą długą powłokę.

Stanik gładki, otwarty na piersiach, ma dwa długie rozchodzące się bawety, z pod spodu wygląda kamizelka z materyi śmietankowéj zapięta na guziki, tworząca trzeci bawet, otwarta zarówno u szyi. Rękawy sięgają zaledwie poniżéj łokcia; kończą je wyłogi z materyi śmietankowéj, i mankiet z podwójnéj koronki bretońskiéj. Garnirunek z takiéj że koronki ciągnie się od szyi do połowy stanika, i spina bukietem róż w odpowiednich kolorach.

Koronka bretońska przyjęta dziś powszechnie, tak do ubrania strojnych sukien, jak na kołnierzyki; krawaty i mankiety. Jest to po prostu tiul brukselski, cerowany płaskiemi nićmi w lekkie wzorki, bardzo łatwe do wykonania.

Do balowych sukien dla młodych zwłaszcza osób, przyjęto gorseciki zwane *paysanne*. Z przodu tworzą one kirys zapięty na guziki, w tyle przedłużoną baskinę, złożoną z dwóch wielkich kontrafałdów, przytwierdzonych w górze kokardą. Oto opis podobnéj sukni. Spódniczka atłasowa blado niebieska; u dołu trzy wolanciki z gładkiego z białego tiulu, przepinane w odstępach pukielkami blado niebieskiéj wstążeczki, szerokiéj na cal. Nad tém szerszy nieco wolant z plisowanego atłasu niebieskiego, wyżéj znów trzy tiulowe wolanciki. Powyżéj garnirunku idzie z przodu fartuszek tiulowy przemarszczany po bokach zakończony plisą atłasową, nad plisą dana tiulowa rusza. Tylny bryt tiulowy, ogarnirowany ruszą, przytwierdzony z obu stron do fartuszka, spada na garnirunek spódnicy. Bryt ten nie podpina się wcale w festony, ale zmarszczony w poprzek na łokieć od ziemi, spięty jest na wielką tiulową kokardę. Miejsce stanika zastępuje gorsecik wiejski z blado niebieskiego atłasu, któryśmy wyżéj opisali. Z pod stanika, zachodzi na ramiona draperya tiulowa. Krótkie rękawki składają się z trzech tiulowych plisowanych falbanek, zakończonych w górze kokardkami z niebieskiéj wstążki. Z pod gorsecika spada na tył spódniczki szarfa błękitna nie zbyt szeroka.

Z pomiędzy krótkich kostiumów, podobał nam się bardzo wełniany popielaty, zrobiony do rogówki. Spódniczka spięta na rząd stalowych guzików, miała u dołu fałdowany wolant szeroki na pół łokcia, nad nim szła plisa, z lekkiego aksamitu, w czarne i popielate paseczki. W tyle spadały od stanu, trzy proste bryty, objęte aksamitnym rulonem, środkowy bryt dochodził do połowy wolantu od spódniczki dwa boczne, znacznie krótsze, odwrócone do tyłu, łączyły się razem spięte na kokardę ze wstążki w odpowiednim kolorze. Stanik do tego długi z baskiną, miał z przodu aksamitną kamizelkę, z tyłu rozcięty w trzech miejscach, przybrany był na każdéj klapce, rzędem stalowych guzików.

Drugi kostium czarny kaszmirowy, miał spódniczkę bez falbany, całą plisowaną w zaprasowane fałdy Tunika składała się z trzech prostych brytów, każdy z nich zebrany u dołu w wielkie fałdy, zakończony był kokardą z wstążki *gros grin*, z długiemi końcami. Stanik nakształt fraczka; miał z tyłu fałdowaną baskinę, z przodu zaś długi bawet. Spinał się na dwa rzędy guzików, w górze odwinięte były nie wielkie klapki. Dwie kieszenie znacznych rozmiarów, zdobiły przednie bryty tuniki, tém się różnią od dawnych, że naszyte wysoko, w blizkości pasa.

Trzeci kostium z sukienka w kolorze jasno brązowym składał się ze spódnicy i kaftana znacznie przedłużonego w tyle. U dołu spódniczki szło pięć falbanek na trzy cale, bardzo lekko namarszczonych, z brzegiem wycinanym w zęby w maszynie. Kaftan długi, obcisły, spięty na drewniane guziki, ogarnirowany takąż falbanką, tylny bryt długi, podpinał się i tworzył lekką draperyą bez powłoki. U szyi cztery falbanki naszyte jedna nad drugą, stanowiły jakby maleńką pelerynkę. Mankiet u ręki nagarnirowany odpowiednio.

Do ubrania sukien czarnych, tak jedwabnych jak kaszmirowych używana bardzo, szeroka frendzla, z równie szerokim nagłówkiem szmuklerskim. Widzieliśmy piękną suknię kaszmirową, ozdobioną w ten sposób. Przedni bryt naszyty trzy razy podobną frendzlą, tworzył fartuszek. Na to szła suknia *princesse*, otwarta z przodu, ogarnirowana po bokach, plisowaną falbanką jedwabną. Dół powłóczystéj sukni, kończyły trzy falbanki. Z przodu długa jedwabna kamizelka, spięta na szmuklerskie guziki, spadała na fartuszek. Rękawy kończyły się dwoma jedwabnemi falbankami.

W kapeluszach panują wyłącznie dwa kolory: czarny i biały śmietankowy. Czarne kastorowe lub aksamitne przyjęte powszechnie na ulicę; białe na teatra, koncerta i wizyty. Te ostatnie ubierają piórem śmietankowym, wiele z nich widzimy, podbitych aksamitem ciemno *caroubier*.

Wielkie kokardy alzackie ogólnie dziś upowszechnione, noszą je na kapeluszach, na rannych czepeczkach, zarówno jak na włosach, do wieczornego ubrania głowy. Widzimy podobne kokardy z wstążki *gros grin* lub atłasowéj czarnéj, powleczonéj koronką w złoty deseń. Pięknie to i strojno wygląda.

Czepeczki ranne najmodniejsze, składają się z okrągłéj główki, bądź z muślinu, bądź z tiulu bretońskiegie, ogarnirowanej w koło karbowaną koronką bretońską. Nad czołem wpięta wielka kokarda alzacka, w kolorze blado różowym, lub blado błękitnym.

Chusteczki z muślinu indyjskiego i koronki bretońskiéj, pozyskały w Paryżu niesłychaną wziętość. U szyi muślin złożony ukośno, tworzy dwie głębokie, plisy; te garnirują się od dołu karbowaną koronką, na spięciu idzie kokarda z wstążki atłasowéj w bardzo bladym kolorze. Z pod kokardy spada koronka naszyta w poziomym kierunku, cztery lub pięć razy jedna nad drugą. Ubranie to bardzo świeże, i łatwe do zrobienia.

Uważaliśmy także ładne kokardy do szyi, z bardzo cienkiego tiulu, cerowanego w deseń pelą w różnych odcieniach, podobny tiul pelą cerowany, służy téż na wolanciki, do ubrania balowych sukien. Jest to najświeższa nowość tegoroczna w Paryżu.

Opis Ryciny Kolorowéj.

Suknia z frakowym stanikiem. Blado zielona faille i takiż atłas stanowią materyał na to strojne ubranie odpowiednie na wieczorne zebrania, obiady proszone i t p

Stanik krajany z atłasu i faille, ma baskinę przy środkowych częściach pleców znacznie przedłużoną podsuniętą pod brzegi części bocznych, z przodu zaś ma dodaną kamizelkę. Draperya marszczona, lekko bufująca się na sukni z przodu dochodzi tylko do kolan. z boków zaś jest ścięta w ząb szpiczasty sięgający do dołu sukni; brzegi draperyi podsuwają się pod tylny bryt sukni, samemi zaś rogami zachodzą na wierzch bryta i są spięte sutą kokardą przytrzymującą również tylny bryt draperyi, szpiczasty u dołu, u góry zebrany w dwie kontrafałdy. Brzegi oszyte plisą i szeroką blondyną; u dołu sukni i przy rękawach plisowanie atłasowe. We włosach róże.

Suknia biała muślinowa. Ozdobiona jest koronką i wszywkami rózmaitéj szerokości, wywodzonemi na tiulu (dentelle Bretonne) i kokardami z wstążki fiołkowéj repsowéj, z lewą stroną lila atłasową. Stanik z długą baskiną ma z przodu plastron cały zagarnirowany wązką koronką lekko nadmarszczoną, środkowe części pleców są również zagarnirowane koronką a z boków odznaczane wszywką. Draperya z przodu i rękawy szyte są z pasków muślinowych i wszywek; koronka dana przy staniku i draperyi jest układana w płaskie fałdki przy falbanach zaś przyszywa się gładko. We włosach bukiecik fiołków.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami, i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 31 Января 1879 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

PRZYSIĘGA LADY ADELAJDY.

PRZEZ

mistres Henry Wood

przekład z Angielskiego

(Ciąg dalszy).

Zamiast odpowiedzi, Shad zaczął skakać z radości; pewnie to pierwszy raz w życiu mały urwis posiadł srebrny pieniądz uczciwie pozyskany.

Pan Lydney powrócił do *Gospody Marynarzy*. Poszedł zaraz do swego starego przyjaciela, aby się z nim naradzić jak ma postąpić dalej, i zawezwał Ravensbirda aby mu towarzyszył.

Pan Home zadał najpierw gospodarzowi swemu kilka pytań odnoszących się do charakteru i nawyknień lorda Dane, potém, po chwili namysłu, oznajmił iż jest przekonany że tenże zabrał i ukrył gdzieś szkatułkę. Jednak nie było niepodobném aby została skradzioną z wózka, w drodze z wybrzeża do pałacu, przez włóczących się ciągle hultai, jak utrzymywał Ravensbird. Pan Lydney podzielał jego zdanie.

„Była to bardzo niezwyczajna szkatułka, która mu siała zwrócić uwagę każdego co ją zobaczył, mówił do pana Home; krzyż maltański i złote litery rzadko zdarzy się spotkać na szkatułce... Jeźli rzeczywiście przyniesiono ją do pałacu, pojąć nie mogę jak mógł nie zauważyć jéj stary Bruff... i lord Dane także twierdzi iż nie pamięta czy ją widział wtedy... dziwi mnie to niewypowiedzianie.

— Jeżeli tylko lord Dane ma jakieś powody ukrywania téj szkatułki, to ma się rozumieć że nie zechce przyznać że ją widział, odpowiedział pan Home. Jakże ci się zdaje, panie gospodarzu?

— Sądzę panie, że właśnie kwestya na tém się zasadza czy lord mógł miéć jakiś powód do ukrycia szkatułki. Jeżeli tak, to schował ją z pewnością, w przeciwnym zaś razie, zdaje mi się że prędzéj zgubiono ją lub skradziono w drodze.

— Co powiększa jeszcze moje podejrzenia, i czego nawet zrozumiéć nie mogę, rzekł unosząc się Lydney, to sam rozkaz przewiezienia téj szkatułki do pałacu. Michał powiedział lordowi Dane że ona do mnie należy, że oddaliłem się tylko na chwilę poszukać ludzi z wózkiem lub tragami, aby ją przewieziono do oberży, wszystko to nic nie pomogło; wyłajał prawie Michała za to że ośmielił się czynić mu uwagi, i tak się śpieszył aby jak najprędzéj zabrać wszystko. Założyłbym się o moją głowę że sam zabrał tę szkatułkę.

Jednak, będąc nawet pewnym że tak jest rzeczywiście, to jak tu sobie radzić? William Lydney czuł dobrze trudność swego położenia. Lord Dane był lordem Dane, i panem Danesheldu, człowiekiem zajmującym wysokie stanowisko, do którego nie można się było zbliżyć pod byle jakim pozorem, a tém więcéj oskarżyć bez dostatecznych dowodów. Pan Lydney chodził długo po pokoju pana Home, dręczony niepewnością.

„Cóż mam teraz czynić? zapytał zwracając się do pana Home.

— Gdybyś zechciał posiedziéć trochę spokójnie, bo to ciągłe kręcenie się twoje męczy mnie bardzo, objawiłbym ci moje zdanie, odpowiedział pan Home. Szkatułka jest u lorda Dane... takie jest przynajmniéj moje przekonanie. W takim razie... Jeżeli nie usiądziesz, nie podobno mi będzie mówić dalej.

William Lydney zamknął drzwi i usiadł. Byli teraz sami; żona zawołała Ravensbird'a do gościnnéj sali.

Pan Home mówił bardzo spokojnie, rozważnie, zapatrując się na tę kwestyę z różnych punktów, i w końcu objawił swoje zdanie. Przy końcu rozmowy pan Lydney nabrał jeszcze silniejszego przekonania, że szkatułka znajduje się w pałacu Dane, schowana w jakiéjś skrytce znanéj tylko samemu lordowi. Nie zadawał sobie nawet pytania jak się to stać mogło, w obec niepokonanych prawie trudności przedstawionych mu przez Bruff'a; według niego nie podpadało to najlżejszéj wątpliwości, i nic w świecie nie zdołałoby już zmienić jego przekonania.

Po południu udał się do Danesheld-Hall, chcąc zasięgnąć rady squira Lester. Gdy tam przybył zastał powóz przed drzwiami; pan Lester wyjeżdżał gdzieś z lady Adelajdą.

„Widzę że przybyłem w niewłaściwej porze, odezwał się Lydney. Chciałem zasięgnąć rady pana w pewnym interesie.

Lady Adelajda pierwszy raz dopiero spotkała się z Williamem Lydney, ale widziała go już kiedyś na ulicy, i sprawił na niéj bardzo korzystne wrażenie, odezwała się też do niego z miłym uśmiechem:

„Czy nie możnaby odłożyć téj rozmowy na późniéj Pan Lester teraz zmuszony jest wyjechać bo i tak spóźnimy się trochę, ale może pan będzie mógł przyjść wieczorem.

— Jak najchętniéj, pani.

— Tak będzie najlepiéj, panie Lydney, dodał squir Lester, przyjdź pan wieczorem o któréj zechcesz godzinie, pomówimy z sobą, a następnie lady Adelajda poczęstuje nas herbatą.

William Lydney przybył powtórnie do Hall między ósmą a dziewiątą wieczorem, służący chciał go wprowadzić do salonu, ale go zatrzymał, mówiąc że chce najprzód widziéć się z panem, otworzono mu więc drzwi od biblioteki, gdzie pan Lester przybył także wkrótce.

— Jest to całkiem niewłaściwa pora do interesów rzekł Lydney, kiedy podali sobie ręce, i muszę przeprosić pana że mu czas zabieram.

Pan Lester wskazał mu krzesło i sam usiadł.

— Wszak pan jesteś sędzią pokoju?

Pan Lester skinął twierdząco głową.

— W takim razie mam do pana prośbę... która zapewne zadziwi pana. Mam jednak nadzieję że zechcesz przychylić się do niéj. Chciałbym otrzymać od pana upoważnienie do zarządzenia poszukiwań w pałacu.

Pan Lester nie mógłby zostać więcéj zdumionym gdyby żądano od niego upoważnienia do poszukiwań w jego własnym domu. Przez kilka minut nie zdołał zdobyć się na odpowiedź, i tylko wpatrywał się w Lydney'a.

— Chcesz pan czynić poszukiwania w pałacu Dane! zawołał nakoniec.

Pan Lydney przedstawił mu powody tego żądania, ale tajemnicze zniknięcie jego szkatułki było już wiadome panu Lester, jak zresztą wszystkim w Danesheldzie.

„Może pan być pewnym, dokończył, że ta szkatułka znajduje się w pałacu, i że lord Dane ukrywa ją tam rozmyślnie.“

Jeżeli coś mogło powiększyć jeszcze zadziwienie pana Lester, to z pewnością podobne twierdzenie.

„Na czém pan opiera podobne mniemanie? zapytał oburzony.

— Na dokonanych poprzednio faktach! Jakiém prawem lord Dane zabrał moją szkatułkę? Michał uprzedził go że ona do mnie należy, że przywiązuję do niéj wielką cenę, i że oddaliłem się tylko na chwilę aby sprowadzić kogoś coby ją przeniósł do mego mieszkania. Pomimo to zabrał ją i posłał do pałacu. Zechciéj mi pan wytłomaczyć w jakim uczynił to celu?

— Przyznaję że nie widzę potrzeby podobnego postąpienia, odpowiedział pan Lester po krótkim namyśle; co zaś do powodów które skłoniły lorda Dane, przypisać je trzeba tylko chęci, czy też przesadzonéj gorliwości—zabezpieczenia tych przedmiotów a głównie szkatułki pana. Zastanów się pan tylko co mogłoby go skłaniać do zatrzymywania lub ukrywania rzeczy należącéj do pana? Dla czego, gdyby szkatułka znajdowała się u niego, nie miałby oddać jéj panu z największą przyjemnością?

— Tak rzeczywiście! odrzekł pan Lydney z ironicznym uśmiechem.

— Jeżeli mam objawić moje zdanie, to zdaje mi się że szkatułka musiała spaść z wozu w drodze do pałacu.

— Nie, panie Lester, szkatułka była tak ciężką że nie mogłaby spaść niespostrzeżenie, zresztą jeden z ludzi szedł za wozem, a lord Dane, jak mi mówiono, nie spuszczał z niego oczu. Zresztą jest jeszcze jeden fakt rozstrzygający kwestyę: widziano że szkatułka została wniesioną do pałacu.

Pan Lester zaczął słuchać uważnie, ten ostatni szczegół był mu całkiem nieznany.

— Widziano?... Któż to widział?

— Chłopiec dobrze tu wszystkim znany, nazwiskiem Shad. Widział jak znoszono rzeczy.

Squir Lester roześmiał się głośno.

— Przebacz mi, panie Lydney, ale ostatnie twoje słowa dowodzą najlepiéj że jesteś obcym w naszéj okolicy. Shad'a! to wyborne! niepodobna wyobrazić sobie bezczelniejszego kłamcy! W ciągu jednéj godziny wypowie więcéj kłamstw niżeli ktokolwiek inny przez całe życie. Wątpię aby z ust tego urwisa wyszło kiedy choć jedno słowo prawdy, z jego wiedzą.

— Nie przeczę temu bynajmniéj, bo wiem to równie dobrze jak pan. Ostrzegł mnie już Ravensbird że nie można mu ufać, a zresztą z tego co sam widziałem muszę wnosić że te chłopak bardzo zepsuty i kłamca, tak z nawyknienia jak i z wyrachowania. Jestem jednak przekonanym że na ten raz powiedział prawdę. Zaręczał że widział jak młynarze wnosili szkatułkę do pałacu, pod dozorem Bruff'a służącego lorda Dane.

— Ale pan sam przekonałeś się że jéj tam nie ma. Wszak mówiłeś mi to pan przed chwilą?

— To jest, przekonałem się tylko że nie znajduje się w pośmiertnéj sali, ale nic więcéj. Tego

zaś jestem pewny że została zaniesioną do pałacu.

— Więc cóż się z nią stało? Nie przypuszczasz pan zapewne aby ją ukradł ktoś ze służących? dodał pan Lester. Bruff jest człowiekiem nieposzlakowanéj poczciwości; był już kredencerzem za życia starego lorda.

— Nie posądzam wcale służących. O ile mi mówiono, żaden z nich, wyjąwszy Bruff'a nie był w téj sali.

— Kogóż więc pan posądza? zapytał pan Lester patrząc bystro na Lydney'a. Sądzę że nie lorda Dane?

— Jest to kwestya bardzo delikatna, panie Lester, na którą trudno mi odpowiedziéć. Jestem pewny że szkatułka moja jest w pałacu, ukryta rozmyślnie lub przez nieuwagę, i dla tego proszę pana o wydanie mi upoważnienia do niezbędnych poszukiwań.

— Nie mogę udzielić go panu; przykro mi że muszę odmówić, ale—pomijając nawet wszelkie inne względy—uważam że ani prawo ani okoliczności nie upoważniają mnie do tego. Jedynym dowodem że szkatułka została wniesioną do pałacu, jest świadectwo Shad'a, a niepodobno, polegając na słowach takiego hultaja, znieważać lorda Dane wydająo upoważnienie do czynienia poszukiwań w jego domu, Zresztą, nie jestem pewnym czy jako lord naczelnik sądownictwa w hrabstwie, nie miałby prawa unieważnić mojéj decyzyi. Nie otrzymasz pan nigdy podobnego upoważnienia, ani odemnie, ani od żadnego z urzędników. Przejdźmy na herbatę.

Lord Dane przyszedł także na herbatę do Hall, znajdował się w salonie z lady Adelajdą i miss Lester.

Zapytał się lady Adelajdy o pana Lester.

„Jest w swoim gabinecie, odpowiedziała, wraz z panem Lydney który ma do niego jakiś interes.

— Z panem Lydney? powtórzył jego wielmożność A! wiem już, z tym Amerykaninem mieszkającym w *Gospodzie Marynarzy*.

Powiedział to z tak pogardliwém lekceważeniem, że twarz Maryi żywym pokryła się rumieńcem.

— Jakiż on może miéć interes do pana Lester?

— Nie wiem. Prosiliśmy go aby przyszedł do nas dziś na herbatę.

— Tego Lydney'a?

— Tak.

Lord Dane zacisnął pogardliwie usta. Zadawał sobie w myśli pytanie w jakim też ubiorze ten Amerykanin przedstawi się angielskim damom.

Ciekawość jego została wkrótce zaspokojoną. W parę minut po tém wszedł pan Lydney w czarnym fraku i białym krawacie, słowem ubrany tak samo jak lord Dane.

Pomimo różnicy wieku, było jakieś podobieństwo między nimi: obydwaj równie wysokiego wzrostu, równie pięknych i szlachetnych rysów twarzy; obadwaj mieli czarne fraki, białe krawaty i jasno perłowe rękawiczki. Jednak serce Maryi Lester tak żywo bić zaczęło kiedy William Lydney powitał ją uściśnięciem ręki, jak nigdy nie biło dla lorda Dane.

Lord Dane nie oświadczył się jeszcze miss Lester. Wiedział że ją uwiadomiono o jego zamiarach, ale ponieważ całém swém zachowaniem względem niego, nie dawała mu żadnéj zachęty, osądził że lepiéj zaczekać jeszcze.

Marya miała na sobie suknię z jasno-niebieskiéj materyi, naszyjnik i bransolety perłowe, a we włosach jedną tylko białą różę. Lordowi Dane wydawała się stokroć piękniejszą nawet od lady Adelajdy kiedy ta była jeszcze młodą panienką. Adelajda Erol nie miała nigdy tak łagodnego wyrazu twarzy, tak słodkiego i miłego charakteru jak miss Lester.

Zachowanie się pana Lydney drażniło niewymownie lorda Dane, zamiast rozumiéć swoje podrzędne stanowisko trzymał się na równi zresztą towarzystwa. Gdyby pochodził nawet z równie wysokiego rodu jak lord Dane, obejście jego nie mogłoby już być swobodniejsze jak obecnie. Możnaby sądzić że to szlachcic z dziada pradziada. Grał artystycznie na fortepianie i ślicznie śpiewał, więc lord Dane wyprowadził z tego wniosek że musiał być nauczycielem muzyki.

„Panie Lydney, może pan zaśpiewa nam ten duet... już pan wie który? odezwała się lady Adelajda.

— Najchętniéj, jeżeli tylko miss Lester zechce śpiewać ze mną i akompaniować.

Marya wzięła nuty i usiadła do fortepianu.

— Wszak trochę prędzéj jak wczoraj? rzekła zanim zaczęli śpiewać.

— Prędzéj?

— Tak, sądzę że tak będzie lepiéj.

— Lord Dane, stojący przy fortepianie, słyszał tę rozmowę.

— Pani już tu śpiewała ten duet z panem Lydney? zapytał Maryi.

— Nie, śpiewaliśmy go u miss Bordillion, odpowiedział Lydney.

— Oburzenie lorda Dane wzmogło się jeszcze. Czy to było właściwém dla miss Lester,—dla córki squira Lester, dla przyszłéj lady Dane,—zabierać znajomość z jakimś nieznajomym Amerykaninem, wyrzuconym przez burzę na wybrzeże, i pozującym na szlachcica.

— Co pan wiesz o nim? zapytał z żywością pana Lester, gdy Lydney już odszedł.

— Co o nim wiem? Nic. Przyszedł pomówić ze mną o swéj zaginionéj szkatułce, i prosiłem go na filiżankę herbaty.

— Czy nie jest to trochę nieostrożnie przyjmować do domu człowieka obcego i nie znanego nikomu.

— A! odpowiedział pan Lester, który niecierpiał muzyki i zdawał się śmiertelnie znudzonym, nie prosiłem go aby bywał częściéj, i zapewne nie przyjdzie tu już nigdy. Ma ułożenie prawdziwego gentlemana.

Pan Lydney zaniepokojony zapewnieniem squira Lester że żaden z urzędników w hrabstwie nie wyda mu upoważnienia do przedsięwzięcia poszukiwań w pałacu Dane, udał się nazajutrz do biura policyi i zapytał o inspektora.

Bióro policyi mieściło się w oddzielnym i wygodnym gmachu, gdzie były nawet celki dla więźni, znajdowało się ono w środku wsi, naprzeciwko sklepu pana Minn, krawca. Główna sala, z oknami na ulicę, była przedzielona dość wysoką kratą, za którą stało biórko i dwa krzesła.

Pan Bent był ciągle w Danesheld; tylko że awansował na inspektora, a prócz tego roztył się bardzo i wyłysiał.

Jeden z niższych urzędników uwiadomił pana Lydney że inspektor wyszedł na chwilę; ale zarazem dodał że może mógłby go zastąpić.

Pan Lydney przedstawił mu swój interes, i zażądał upoważnienia po poszukiwań w pałacu Dane.

Urzędnik wstrząsnął głową i uśmiechnął się. Sam nie mógł zadość uczynić podobnemu żądaniu, ale przedstawi je swemu naczelnikowi. W każdym razie najlepiéj będzie jeżeli interesant zgłosi się powtórnie i pomówi z panem Bent.

William Lydney nie miał widać najlżejszego wyobrażenia o wpływach i władzy lorda Dane w téj okolicy, skoro mógł pomyśléć że policya nie uwiadomi jego wielmożności z jaką do niéj wystąpił prośbą.

Jak tylko inspektor Bent dowiedział się o tém, udał się natychmiast do pałacu i prosił lorda Dane o chwilkę rozmowy.

„Poszukiwania u mnie! i cóż jeszcze więcéj? zawołał ironicznie lord Dane. Poszukiwania czego? czy téj jakiéjś szkatułki!... Cóż to! czy ten Amerykanin posądza moich służących?

— Tak się zdaje, odpowiedział Bent.

— Byłoby lepiéj gdyby dał jakieś objaśnienia co do swéj osoby, przeszłości i położenia towarzyskiego; bo nikt nie wie kto on jest, dodał lord z gniewem. Zastanów się tylko, Bent: wyciągają z wody jakiegoś Amerykanina, nie posiadającego nic prócz tego co ma na sobie, dają mu schronienie w oberży, osiedla się tam, każe sobie robić ubranie nowe, najmodniejsze, i wkręca się do najpierwszych domów w okolicy. Nie wspomina nic o swéj przeszłości, i wiem że wszelkie dotyczące tego pytania pozostawia bez odpowiedzi. To daje wiele do myślenia. Zkąd możemy wiedzieć że to nie jest jakiś awanturnik, jakiś oszust? Co do mnie jestem przekonany że tak jest, i to nie bez powodu. Wczoraj przepędził cały wieczór u squira Lester. Wszędzie potrafi się wkręcić.

Powyższe uwagi wydały się panu Bent bardzo słuszne i tém silniejsze uczyniły na nim wrażenie że wyszły z ust lorda Dane.

— U miss Bordillion stał się już codziennym gościem... tak codziennym, dodał lord z przyciskiem, a zapewne możnaby to powiedzieć i o innych domach. Był tak zuchwałym że ośmielił się nawet przyjść tu do pałacu, i tak manewrował że siostra moja przyjęła go u siebie; a całe zachowanie jego było tak swobodne, jakby miał kieszenie napełnione polecającemi listami.

— Ale jakże się to wszystko skończy? zawołał przestraszony inspektor, jeżeli ten człowiek jest rzeczywiście awanturnikiem?

— Tak się skończy że nasi poczciwi sąsiedzi będą kiedyś gorzko żałować swéj łatwowierności, przynajmniéj tak mi się zdaje... Nie odchodź jeszcze, Bent, nie skończyliśmy jeszcze z tą przeklętą szkatułką..! która jak sam wyznaje nie jest jego własnością!... Mówiąc między nami, zdaje mi się musiała należéć do jakiegoś innego pasażera, a on teraz upomina się, wiedząc że prawy właściciel nie może już zgłosić się po nią!

Lord Dane zadzwonił na Bruffa, i wszyscy trzej udali się do składu. Lord Dane wskazał ręką na leżące tam przedmioty i rzekł:

— Oto wszystko co tu przewieziono, i każdy przedmiot leży na tém samém miejscu jak go położono. Sam rozum wskazuje, że gdyby przyniesiono szkatułkę nie mogłaby ztąd zniknąć?... Bruff może zaręczyć że nikt nie mógł jéj ztąd wynieść, bo klucz był ciągle w jego kieszeni. Kto wie czy sam nie dopomógł do ściągnięcia jéj z wozu, a teraz tak natarczywie upomina się o nią, aby odwrócić od siebie podejrzenia. Trudnoby mi było wypowiedzieć wszelkie przypuszczenia jakie mi przychodzą do myśli.

— To dopiero paniczyk, milordzie, i ośmiela się żądać upoważnienia do poszukiwań w pałacu!

— Każę go powiesić na drągu masztowym naj-

większego statku w przystani, zanim będzie mógł wykonać swój zamiar, odezwał się lord dumnie.

Pan Bent skinął potakująco głową.

— Nie chcę jednak narzucić policyi mego zdania, jeżeli więc życzysz sobie, dla swéj własnéj pewności, przejrzyć wszystkie pokoje i zakątki w pałacu, nie mam nic przeciwko temu. Bruff zaprowadzi cię wszędzie, a jeżeli wolisz sam puścić się na tę węl drówkę, to i na to zezwalam chętnie. Tu zaraz jest mały gabinet, dodał otwierając drzwi; zacznij od niego.

— Nie odważyłbym się nigdy na to, milordzie... Wyjąwszy gdyby coś zależało na tém waszéj wielmożności, dodał Bent któremu nasunęła się nagle myśl jakaś. Może, dodał cicho, wasza wielmożność ma podejrzenie na kogo ze swéj służby? Moim podwładnym w biurze zdawało się że ten Amerykanin posądza kogoś z domowników.

— Nie, nie podejrzywam nikogo z moich służących, odpowiedział lord zimno. Ale doprawdy wolę abyś pan przejrzał pałac od strychu do piwnic, będziesz wiedział przynajmniéj czego się trzymać; co do mnie sądzę że już więcéj nie będę słyszał o tym interesie który mnie już nudzić zaczyna.

Inspektor Bent, stosownie do woli lorda Dane, przejrzał cały pałac nie pomijając najdrobniejszych zakątków, i nic nie znalazł.

W obejściu lorda Dane zaszła widoczna zmiana kiedy Bent wrócił aby się z nim pożegnać, teraz już dumnie i oziębłe rzekł do niego:

„Słuchaj, inspektorze, jeżeli ten człowiek—ten Lydney, czy jakkolwiek podobałoby mu się nazwać raz jeszcze pozwoli sobie żądać od ciebie upoważnienia do rewizyi w moim pałacu, proś go grzecznie aby ci powiedział kim jest i co tu robi.

— Nie omieszkam tego uczynić, milordzie.

— Zapewne rozumiesz mnie, Bent, rzekł jego wielmożność już mniéj oschłym tonem, daję ci polecenie całkiem poufne... Chciałbym wiedzieć koniecznie kim ten człowiek jest rzeczywiście.

Pan Bent wracając do Danesheldu zastanawiał się na tą całą sprawą, i po głębokim namyśle podzielał najzupełniéj zdanie lorda Dane. Ten Lydney, to rzeczywiście jakiś zagadkowy człowiek wywnioskował, i policya powinna śledziić go bacznie.

Rozdział V.

U inspektora Bent.

Marya Lester szła szybko z Wilfrydem przez las należący do Danesheldu. Raz jeszcze przestępując rozkaz ojca, poszła odwiedzić nieszczęśliwą Edytę. Wracała teraz tak smutna że nawet nie starała się ukryć swego zmartwienia: wszystko szło coraz gorzéj w tym nieszczęsnym domu,. a reputacya Wilfryda nie poprawiła się także.

„Czy nie mógłbyś znaleźć jakiegobądź zajęcia? zapytała nagle Marya, zostająca pod wpływem takiéj obawy i prawie rozpaczy, że milczenie stało się dla niéj nieznośném. Sprobuj postarać się o jakie miejsce, mniejsza o to jakie, byleby ci przyniosło choć mały dochód. Odrzuć dumę na stronę.

— Dumę? powtórzył tak boleśnym głosem, jakby już dawno rozstał się z nią i zapomniał o niéj, Jakiego mam szukać sobie zajęcia? dodał z sarkastycznym uśmiechem. Myślałem już o wielu sposobach zarobkowania, ale nic mi się nie udaje. Nie mogę założyć sklepiku, bo nie mam na to pieniędzy; choćbym chciał zostać strażnikiem leśnym u lorda Dane, to wszystkie miejsca są zajęte. Wątpię także aby ojciec przyjął mnie za lokaja, gdybym zgłosił się na miejsce tego który podziękował mu za służbę.

— A! Wilfrydzie jakże możesz obracać w śmieszność moje słowa? Wiesz dobrze że nie mówię o podobnych zajęciach.

— Tak, mówisz o jakiéjś posadzie odpowiedniejszéj do mego wychowania i ukształcenia.... Niestety! nie mógłbym jéj objąć... dla braku odzieży.

— Wilfrydzie!...czy to być może?

— Z wyjątkiem téj aksamitnéj kurtki, rzekł wskazując swe myśliwskie ubranie, wszystkie inne moje rzeczy są sprzedane lub zastawione, a kto wie czy i z tém co mam na sobie nie będę musiał rozstać się wkrótce, w takim razie będę chodził tylko w kamizelce, z wielkiém zgorszeniem mieszkańców Danesheldu.

Łzy popłynęły z oczu Maryi. Domyślała się już tego, domyślała się więcej jeszcze, a jednak boleśnie było jéj to słyszeć. Ton szyderczy i rozdrażnienie brata powiększał jeszcze jéj smutek i niepokój.

— Nie dawno mały ptaszek szepnął mi do ucha, Maryo, że prawdopodobnie zaślubisz lorda Dane, odezwał się już poważnie i z czułością Wilfryd po chwili milczenia. Czy powiedział prawdę?

— Mały ptaszek nie potrzebnie się trudził.

— Wiem że nie mam prawa mieszać się w podobne sprawy, a jednak, droga Maryo, błagam cię, zastanów się dobrze zanim zwiążesz się na zawsze z lordem Dane. Ma prawie dwa razy tyle lat co ty.. Czy kochasz go?

— Nie, nie kocham go, Wilfrydzie. Lubię lorda Dane, ale za nic w świecie nie chciałabym zostać jego żoną. Zresztą jeszcze mi się nie oświadczył.

Doszli już go brzegu lasu, Marya pożegnała brata i przyśpieszyła kroku, bo trzeba było wracać na obiad. Łzy które powstrzymywała gwałtem w ciągu rozmowy z bratem, puściły się z jéj oczu. Jakby na przekór, dochodząc do Hall, spotkała na zakręcie drogi Williama Lydney. Otarła prędko oczy.

„Czy pan znalazł swoją szkatułkę, panie Lydney, rzekła z udaną wesołością, aby ukryć smutek i wzruszenie.

— Nie, odpowiedział; i zawrócił się aby pójść z nią razem. Prawie cały dzień dzisiejszy spędziłem w biorze policyi, i nie mogłem dotąd widzieć się z inspektorem... panem Bent, jak mi się zdaje. Teraz powiedziano mi że wróci za pół godziny, aby poskromić niecierpliwość oczekiwania, wyszedłem na przechadzkę.

— Pragnę szczerze aby się panu poszukiwania powiodły szczęśliwie. Jest coś niepojętego w zniknięciu téj szkatułki, jeżeli nie spadła gdzie na drodze... Czy zawierała w sobie coś tak ważnego?

— Tak, są tam papiery nader ważne dla ich właściciela. Tak szkatułka jak i to co się w niéj znajduje nie należy do mnie, ale chętnie oddałbym wszystko co posiadam, byle ją odzyskać nienaruszoną.

— Życzę panu szczęścia, rzekła podając mu rękę, kiedy już stanęli przed drzwiami Hallu.

— Wierzę w szczerość życzenia i dziękuję za nie. Potém dodał ciszéj wpatrując się w nią i przytrzymując jéj rękę: Pani jesteś dziś smutna; czy pani ma jakie zmartwienie?

Marya zarumieniła się.

— Czy nie mógłbym podzielić smutku pani lub starać się o usunięcie jego powodów? dodał nie odbierając od niéj odpowiedzi.

— Nie, nie, odpowiedziała śpiesznie, słysząc że drzwi otwierają. Smutek mój nie wypływa z powodów dotyczących mnie osobiście, i dla tego nie powiedzieć nie mogę. Dziękuję panu, pani Lydney.

Wiedział równie dobrze jak ona co ją zasmucało, bo plotki krążące po Danesheldzie doszły i do niego.

Marya weszła do przedpokoju, przez uchylone drzwi spostrzegła ojca w jego gabinecie, a że postanowiła z nim pomówić udała się natychmiast.

„Mój ojcze, rzekła zamknąwszy drzwi, i zdejmując drżącą ręką kapelusz, wszak zabroniłeś mi bywać u Wilfryda?

— Ma się rozumiéć.

— Przyszłam tu aby powiedzieć ci, mój ojcze, że przestąpiłam twój rozkaz już dwa razy. Pierwszy raz weszłam tam więcéj wypadkiem jak rozmyślnie, i nie miałam odwagi wyznać ci tego. Dziś powtórnie byłam u niego.

Pan Lester milcząc wpatrywał się w córkę.

— I z jakiegoż to powodu? zapytał nakoniec.

— Aby widzieć się z Edytą. Zdaje mi się że jest umierająca.

Pan Lester milczał.

— Tak... i że umiera z głodu, dodała Marya, dławiąc się łzami. Tak, mój ojcze, z głodu.

— Pleciesz niedorzeczności! krzyknął pan Lester z gniewem.

— A jednak tak jest, mój ojcze. Edyta przeszła ciężką chorobę, i nie może strawić pokarmów na które skazuje ją nędza,—chleb tylko i jarzyny... a i to jeszcze!... i siły jéj wyczerpały się już prawie z braku lepszego pożywienia. Sally powiedziała mi że niknie w oczach, i że powodem tego jest nędza. O! mój ojcze, czy nie zechcesz im dopomódz? czy pozwolisz umrzéć téj nieszczęśliwéj kobiecie. Czy nie pozwolisz mi zanieść jéj cokolwiek?

Pan Lester wahał się przez chwilę, ale widać przyszło mu na myśl że mógłby tym sposobem rozgniewać lady Adelajdę.

„Nie, Maryo; Wilfryd i Edyta łącząc się wbrew méj woli, sami sobie taki los zgotowali. Znoszą teraz skutki swego postępowania.

Marya rozpłakała się.

„Gdybyś, ojcze dał mi dla nich choć trochę pieniędzy, gdybyś...

— Dość tego, przerwał z żywością pan Lester.

Miał teraz zawsze nader mało pieniędzy, i te słowa córki przypomniały mu to właśnie. Co do „głodu ‘ zdawało mu się że Marya przesadza tylko

— Nie mieszaj się do tego, rzekł. Powtarzam ci raz jeszcze, że Wilfrid i Edyta sobie tylko przypisać winni swoje obecne położenie, i zabraniam ci odtąd wszelkich stosunków z nimi.

— O! błagam cię, mój ojcze, nie wymagaj tego odemnie! zawołała Marya łkając, bo nie mogłabym, wybacz mi że ośmielam się to powiedzióć,—ale nie miałabym odwagi być ci posłuszną. Wilfrid jest moim bratem; skoro wszyscy go opuścili, moją powinnością jest pokrzepiać jego odwagę, i nie opuszczać go... nawet pomimo twego rozkazu, mój ojcze.—Nie zabraniaj mi widywać się z nim; przyrzekam że będę go odwiedzać bardzo rzadko... nawet że nie odwiedzę go nigdy jeżeli obecność moja nie będzie tam niezbędna. Mogę, jeżeli życzysz sobie, mój ojcze, uwiadomić cię naprzód o każdéj mojéj tam bytności, ale więcéj nie żądaj odemnie. Nasza matka już nie żyje, ty ojcze masz żonę i inne dzieci, ale ja i Wilfrid jesteśmy sami.

Pan Lester nie wyrzekł ani słowa, zapewne zadziwienie odjęło mu mowę. Nigdy jeszcze nie widział córki tak silnie wzruszonéj.

Po chwili oczekiwania, Marya wstała i zwróciła

się ku drzwiom; już je otworzyła kiedy odezwał się nareszcie:

„Jeżeli postanowiłaś stosować się pod tym względem tylko do własnéj woli, to po cóż mówiłaś mi o tém?

— Bo nie mogłabym odważyć się na to aby skrycie przestępować twoje rozkazy, ojcze, i chciałam abyś wiedział dla czego uczyniłam to już dwa razy.

Marya wyszła z biblioteki, ale niestety! nie pozbyła się tam ciężaru przygniatającego jéj serce. Postanowiła powtórzyć ojcu wieści krążące o Wilfrydzie, w nadziei że zrozumie wreszcie konieczności udzielenia mu pomocy, choćby tylko aby uchronić od niesławy swoje nazwisko.... Zabrakło jéj odwagi.

Zadzwoniono na obiad. Marya wstępując na schody spotkała lady Adelajdę schodzącą do sali jadalnéj, wystrojoną, z wachlarzem i bukietem w ręku.

„Czy nie zamyślasz dziś zejść na obiad, miss Lester? zapytała zimno. Zdaje mi się już dzwoniono.

Marya spuściła na twarz gazową woalkę aby ukryć łzy swoje.

— Dziękuję, lady Adelajdo, rzekła przytłumionym głosem; pozostanę dziś u siebie. Mam tak silny ból głowy że nie mogłabym nic wziąść do ust.

Milady poszła daléj a biedna, Marya udała się do swego pokoju.

Jednocześnie Tiffle wysunęła się z małéj komórki przy bibliotece, i mruknęła rzucając pogardliwe spojrzenie na miss Lester.

„O! dałabym ja jéj chętnie porządną nauczkę, aby jéj się odechciało na zawsze mieszać w nie swoje interesa... wstawiać się za tym hołyszem Wilfrydem! Milady dowie się zaraz o tym spisku!..

Wnosząc z tych słów, trzeba się domyślać, że Tiffle słyszała całą rozmowę pana Lester z córką.

Tymczasem, William Lydney wrócił do biura policyi, i zastał nakoniec inspektora Bent, który już tam czekał na niego.

Wskazano mu miejsce w pierwszéj sali, naprzeciwko lampy gazowéj, a tego wieczora bióro było bardzo wcześnie i jasno oświetlone. Inspektor stał w cieniu, wsparty łokciem o wysoki pulpit do pisania, i zdawał się słuchać z roztargnieniem słów interesanta; rzeczywiście jednak otwierał szeroko oczy i nadstawiał uszy, chwytając chciwie najdrobniejsze nawet szczegóły, któreby mogły rzucić jakieś światło na osobistość i położenie towarzyskie pana Lydney.

„Czy mam z tego wszystkiego wnosić że pan oskarżasz lorda Dane o kradzież téj szkatułki? zapytał inspektor.

— Nie oskarżam go, ponieważ nie mam przeciwko niemu dostatecznych dowodów, odpowiedział śmiało pan Lydney. Niepodobna jednak zaprzeczyć że lord Dane kazał włożyć szkatułkę na wóz, nie ma wątpliwości że dojechała na nim do pałacu, a ja mam przekonanie że ją wniesiono wraz z innemi rzeczami. Cóż się więc z nią stało? Lord Dane nie oddaje mi jéj a nie mogę wiedzieć czy dla tego że nie chce, czy też że nie może. Na wyjaśnienie téj kwestyi jeden tylko pozostaje sposób, zejście policyi do pałacu.

— Ale zastanów się pan, jaka to zniewaga dla lorda Dane. Nie zapominaj pan, proszę że jest parem Anglii, a naczelnikiem sądownictwa w hrabstwie panem Danesheldu; a prócz tego człowiekiem posiadającym charakter wzniosły..

— Ho!.. ho... wzniosły! przerwał Lydney.

— Jakto?... ma się zrozumieć, nawet bardzo wzniosły, dodał pan Bent, z zadziwieniem patrząc na niego. Czy pan może mu co zarzucić?

— Tak się zdaje. Przywłaszczył sobie moją własność.

— Dosyć tego, odezwał się ostrym tonem inspektor... zanim mógłbym zezwolić na przyjęcie podobnéj skargi przeciwko lordowi Dane, — przypuszczając że pan zamierzasz to uczynić,—musiałbym wiedzieć kto pan jesteś.

— Jakież znaczenie może mieć ta wiadomość w podobnym interesie?

— Bardzo wielkie, i zaraz to panu wytłomaczę. Gdyby jakiemuś nieznanemu ladaco podobało się zanieść przeciwko lordowi Dane niczém nieudowodnioną skargę, zyskałby tylko tyle że wskazalibyśmu mu drzwi. Przeciwnie zaś, gdyby takaż sama skarga pochodziła od człowieka używającego dobréj opini, i którego stanowisko społeczne byłoby nam znane, jego żądanie musiałoby mieć dla nas pewne znaczenie. Czy pan teraz rozumiesz tę różnicę?

Różnica była tak widoczna że trudno było jéj nie przyznać.

— Jeźli ta wiadomość jest panu potrzebna, to mogę zaręczyć że jestem gentlemanem, i zajmuję wyższe stanowisko w świecie.

— Czy pan może pokazać mi na to dowody?

— Masz pan moje słowo, a to powinno wystarczyć.

Na ustach inspektota przesunął się uśmiech całkiem niepochlebny dla pana Lydney, lecz ten jakkolwiek żywo dotknięty tak tonem jak i miną przybraną przez pana Bent mówił daléj spokojnie.

— Nikt dotąd nie zawiódł się na nim.

— Jestem tego pewnym, ale w obliczu prawa słowa nic nie znaczą jeżeli nie są poparte dowodami. Jesteś pan Amerykaninem, jeżeli się nie mylę.

— O tyle tylko że urodziłem się w Ameryce. Mój ojciec był Anglikiem a matka Francuzką. Familia mego ojca jest znana w Anglii.

Inspektor przysłuchiwał się z wzrastającą uwagą.

— W jakichże stronach Angiii zamieszkuje? Lydney... Lydney... nie przypominam sobie żadnéj znakomitszéj rodziny tego nazwiska.

— Nie mogę panu dostarczyć dokładniejszych objaśnień. Musisz pan poprzestać na zapewnieniu że tak jest rzeczywiście.

— Ale dla czego pan nie chce tłomaczyć się jaśniéj?

— To już moja rzecz.

— Wybornie; spodziewałem się takiéj odpowiedzi. Utrzymujesz pan że jesteś gentlemanem, że pochodzisz z jakiéjś znakomitéj rodziny, a kiedy żądam na to dowodów, nie chcesz ich okazać. Czy pan wyobraża sobie że będę dłużéj czas tracił na słuchaniu dziwacznych oskarżeń przeciwko lordowi Dane?

Lydney zamyślony głęboko, patrzył na niego nic nie odpowiadając.

— Czy nie zechciałbyś pan powiedzieć mi co robisz w tych stronach i jak długo zamyślasz tu pozostać?

— Co robię w tych stronach? Więc pan nie wiesz o tém że mnie tu morze wyrzuciło? Co zaś do tego jak długo tu zabawię, to o ile wiem, nie istnieje żadne prawo które mogłoby mi wzbronić zamieszkać tu stale, gdyby takie było moje postanowienie. Mogę zresztą uwiadomić pana że nie wyjadę ztąd dopóki nie odzyskam méj szkatułki.

— Nasza rozmowa skończona, rzekł inspektor. Nie mam czasu do stracenia.

— Czy mam przez to rozumieć że policya odmawia mi pomocy w poszukiwaniach jakie zmuszony jestem przedsięwziąść dla odzyskania méj własności?

— Bynajmniéj, odpowiedział Bent ułagodzony nagle; bylibyśmy bardzo szczęśliwi gdyby nam się udało wynaleźć pana szkatułkę, choćby dla naszéj własnéj satysfakcyi; nie chcemy tylko działać w sposób znieważający dla lorda Dane, zwłaszcza dodał wymawiając z przyciskiem następujące słowa: na żądanie kogoś całkiem tu nieznajomego, i nie chcącego udzielić nam o sobie żadnych objaśnień. Nie jestem jednak tak złym jak się wydaję i jeżeli to może sprawić panu przyjemność, jestem gotów zaręczyć że szkatułka nie znajduje się w pałacu.

— Nie możesz pan być tego pewnym.

— Nie ręczę nigdy za to czego nie jestem pewny. Dziś właśnie czyniłem poszukiwania w pałacu.

— Pan!

— Tak, ja, i do tego tak starannie, że nie znalazłby miejsca takiego jak moja dłoń którebym pominął. Dziś rano, kiedy pan tu wystąpił z żądaniem rewizyi w pałacu, osądziliśmy że wypada uwiadomić o tém lorda Dane, i w tym celu udałem się sam do niego około południa. Milord był mocno oburzony, jak zresztą łatwo było spodziewać się tego, oświadczył że nigdy na to nie pozwoli abyś pan miał przestąpić próg jego domu. Po niejakim czasie uspokoił się jednak, i pozwolił mi przejrzyć pałac od piwnic do strychu, jeżeli mi to może sprawić przyjemność. Korzystałem z jego pozwolenia i mogę przysiądz że szkatułki pana nie ma w pałacu. Zdawało się że stary marszałek dworu, który mnie odprowadzał, pragnie równie gorąco jak pan aby poszukiwania zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem, bo pokazywał mi każdy zakątek w którymby można było ukryć szkatułkę, i dla tego raz jeszcze powtarzam panu że nie ma jéj w pałacu Dane, i że według mnie nigdy tam nie było.

— Gdzież ona jest w takim razie? zawołał Lydney zadziwiony. Co się z nią stało?

— Na to już odpowiedzieć nie umiem, i wyznaję że w całéj téj sprawie jest coś nadzwyczajnego. Jedna rzecz daje mi do myślenia, to jest obecność Shada Been przy wozie, kiedy z niego zdejmowano rzeczy. Ten urwis gotów porwać wszystko co mu wpadnie w ręce, a lakowa szkatułka pochodząca z rozbitego okrętu, byłaby dla niego pożądaną zdobyczą. Z drugiéj jednak strony to pewne że jéj sam nie zabrał, raz z powodu jéj ciężkości, a powtóre że kiedy wóz odjechał, biegł za nim z próżnemi rękami, jak wiem o tém z pewnością.

— Widzę że pan już zasięgałeś wiadomości.

— Bezwątpienia. Jeżeli coś zginie, i to jeszcze w sposób tak tajemniczy, obowiązek nakazuje nam śledzić co się z tém stało, i wczoraj już były nam znane wszelkie szczegóły dotyczące téj sprawy.

— Do jakichże to doprowadziło pana wniosków? Czy nie przyszło panu na myśl, kiedy i jakim sposobem szkatułka została skradzioną?

— Nie panie. Nigdy jeszcze nie spotkałem się z równie zawikłaną sprawą.. Mówiłeś pan że ta szkatułka należy do pana, dodał inspektor rzucając na pana Lydney szybkie ale badawcze spojrzenie.

— Nie powiedziałem tego nigdy. Była mi tylko powierzoną i dla tego mam prawo upominać się o nią tak o moją własność, ale tak ona jak to co się w niéj zawiera nie należy do mnie.

(d. c. n.)

Opis do N. 6.

(Dokończenie).

N. 15—17. Desenie na poduszki do kanapy.

N. 15—16. Haft na suknie; deseń na szlak podaliśmy w naturalnej wielkości na ryc. 7 w N-rze 48 z roku przeszłego.

Środek poduszki jest zahaftowany oryginalnie palmami danemi w dwóch rzędach, ramę koło niego stanowi szlak odrobiony na tle jaśniejszem, podług powyżej wskazanego deseniu. Na modelu tło pod szlak stanowi sukno białe, na którem deseń wyszyty trzema rzędami ściegu łańcuszkowego; palmy haftują się podług ryc. 16, brzegi mają odznaczone kordonkiem szafirowym, tło blado niebieskim, krzyżyki wiśniowym a środkowe trójkąty żółtym i białym.

N. 17. Haft ściegiem gobelinowym i krzyżykowym na płótnie.

Haft na poduszkę do kanapy odrobiony na płótnie niewarowem, dość grubem bawełną szafirową, ponsową, żółtą i zieloną; ścieg gobelinowy znany już czytelniczkom naszym z załączanych deseni, wzór ładnego szlaku zamieściliśmy w N-rze 1 na ryc. 28. Desenie na ścieg krzyżykowy znajdują się nieledwie w każdym N-rze Tygodnika.

N. 18 i 21. Ubrania kostjumowe dla dzieci.

Rycina 18 i 21 przedstawia chłopczyka z dziewczynką przebranych za wieśniaków wiejskich — ryciny te nie wymagają szczegółowego opisu, bo przebranie takie łatwo naśladować podług załączonych modeli.

N. 19. Sukieneczka princesse dla małej dziewczynki.

Uszyta z białego batystu, z wszywką i koronką nicianą, ma staniczek z tyłu zapinany, z przodu przybrany paskami haftowanych wszywek 3 cent. szerokich i koroneczką, przedni bryt naszyty w dwa zęby i oddzielony z boków wszywką i koronką.

N. 22. Ubranie głowy dla młodej mężatki.

Głowę uczesaną przez fryzjera zdobi pióro strusie koloru odpowiedniego do sukni, przypięte z tyłu, do przodu zaś dane drugie piórko zakończone plerezą, przypięte fantazyjną złotą szpilką.

N. 23. Ubranie balowe głowy dla młodej osoby.

Włosy zaplecione w dwa warkocze w ten sposób skrzyżowane i spięte z sobą, aby końce były niewidoczne; na wierzchu głowy przypięty okrągły wianeczek z pączków różanych związany wstążką 3 cent. szeroką. Wianeczek przypiąć można nad czołem prosto, albo trochę z boku głowy.

N. 24—27. Ubrania kostjumowe.

N. 24. Kostjum turecki.

Wysoko pod szyję zapięta kamizelka z ponsowego atłasu, haftowana złotem, z szerokiemi rękawami podbitemi białym atłasem. Zwierzchni krótki kaftan otwarty, bez rękawów, szeroko haftowany złotem, jest z szafirowego aksamitu; spodnie szerokie bufowane z białego kaszmiru. Szarfa przewiązana w pasie, 240 cent. długa a 22 szeroka zszyta jest z dwóch pasów materyi: ponsowego i niebieskiego, u dołu zakończona frendzlą srebrną, 5 cent. szeroką. Zawój z atłasu ponsowego, szafirowego i białego ozdobiony półksiężycem i żółtem rajskiem piórem. Kostjum ten dopełniony jest rodzajem płaszczyka beduinowego z prostego kawałka miękiego wełnianego białego materyału, 200 cent. szerokiego a 126 cent. długiego, objętego plisą atłasową 4 cent. szeroką i zakończonego na rogach czterema ponsowemi kwastami. Jeden róg płaszczyka przypięty jest na ramieniu, drugi zaszywa się pod szarfę w pasie, zresztą zręczne zarzucenie zależy od osobistego gustu.

N. 25. Ubranie balowe z dominem. Krój domina na arkuszu Nr. XV, Fig. 64.

Gustowna i powiewna suknia z białego tarlatanu, ozdobiona blado zieloną atłasową wstążką 1, 2, 4 i 6 cent. szeroką i kwiatami przysłonięta jest na rycinie 25 dominem z czarnej faille, którego krój wskazuje w zmniejszeniu Fig. 64; podług części formy oznaczonej literą c) zakłada się z tyłu fałdę à la Wateau, przeszytą drugi raz w odstępie 35 cent. od wykroju szyi. Kapturek kraje się podług formy litera e) w dwóch częściach, na zaokrągleniu zszytych z sobą; wyższa część otacza twarz i dla lepszego leżenia zakłada się z brzegu w kilka fałdek. Dolna część marszczy się od gwiazdki do dwukropka, na szerokość odpowiednią do wykroju szyi w dominie i wraz z niem wszywa się w pasek. Przyzdobienie kapturka stanowi koronka drobno fałdowana i naszyta czarnemi perełkami.



N. 1. Ubranie ślubne. N. 2. Ubranie balowe z gorsecikowym stanikiem. Patrz ryc. 22.

N. 26. Kostjum włoski. Krój na arkuszu Nr. V, Fig. 23—25.

Spódniczka, gorset i półrękawy są z niebieskiego wełnianego materyału, naszyte wstążką żółtą i ponsową 1 i 2 cent. szeroką. Gorset włożony na koszulkę z długiemi rękawami, przybrany koronką nicianą, zapięty jest tylko dwoma haftkami a u góry trochę się rozchodzi; w miejscach oznaczonych krzyżykiem i dwukropkiem, na brzegu gorseta przyszyte są mocne kółeczka przez które przewłóczy się wstążka ponsowa, 2 $1/2$ cent. szeroka 120 długa związana na ramieniu. Fig. 25 wskazuje krój koszulki, którą do kostjumu kraje się na długość bluzy; karczek d) dany z szerokiej wstawki, ramiączka zaś zszyte z pasków webowych czy batystowych i z wszywki 4 cent. szerokiej; w rękawy wszyta dwa razy wszywka 8 cent. szeroka, u dołu przy ręce wszyte w pasek ogarnirony koronką. Fartuszek z materyału wełnianego bronzowego koloru, haftowany kolorowym jedwabiem ściegiem krzyżykowym; potrzeba na niego kawałka 142 cent. długiego a 48 cent. szerokiego, z brzegów oszytego ponsową wstążką i 1 $1/2$ cent. szeroką złotą koronką. Malownicza zarzutka na głowę, ułożona z białej chustki 150 cent. długiej a 52 szerokiej.

N. 28—31. Kostjumy fantazyjne.

N. 32. Gorset z częściami elastycznemi.

Kliniki na biodrach i szeroki pas dopełniający długość przodów jest z materyału elastycznego, z tego powodu gorset taki jest niezmiernie dogodny dla osób dobrej tuszy bo nie uwiera i nie krępuje zbytecznie. Pas elastyczny u dołu zapięty jest dwoma paskami ze sprzączkami; górny brzeg oszyty wstążką kolorową i koronką.

N. 33. Gorset tkany fabrycznie.

Do pięknego leżenia tego gorseta pomaga brykla, znacznie rozszerzająca się u dołu i miękie cienkie fiszbinki dodane poprzecznie u dołu przodów, jak to wskazuje rycina 33.

N. 36 — 39. Kołnierzyki i mankiety. Krój na arkuszu N. XIV, Fig. 58—63.

Uszyte z cienkiego płótna na podszewce i grubszym materyale jaki daje się w środek dla sztywności; wązkie mankiety odpowiednie są do modnych obecnie wązkich rękawów. Z małą zmianą w wykroju szyi szmizetka wskazana na Fig. 58—59 nadaje się do obydwóch kołnierzyków; wszywając kołnierzyk okrągło się rozchodzący z przodu jak na ryc. 38, nie trzeba dodawać paska.

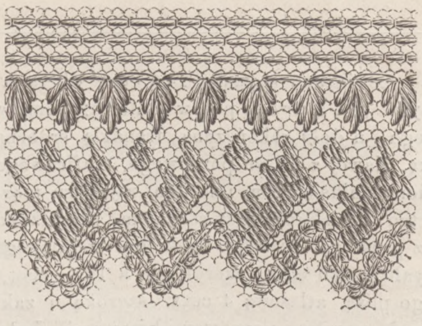
Rycina 36—37 przedstawia kołnierzyk i mankiet z końcami prosto ściętemi, zakończonemi obrębem przyszytym kratką ażurową. Rycina 38—39 przedstawia okrągły kołnierzyk, przykrojony podług Fig. 63, wyłożony na 3 centym. szerokości; mankiet zaokrąglony w końcach zapina się na środku.

N. 40 — 42. Szlak do serwet, poduszek i t. p. Haft wenecki ściegiem gobelinowym z kratką ażurową.

Dwa ładne desenie ułożone są podług dawnych wzorów i wykonane mogą być na płótnie lub dla ułatwienia na kanwie Jawa czy płótnie kanwowym. Odpowiednio do tła haft wykonywa się cieńszą lub grubszą bawełną i nićmi glansownemi. Na kwadraty i kratki w szlaku rycina 40 trzeba poprzednio wyciągnąć nitki podług ryc. 41 wskazującej robotę w zwiększeniu. W kwadraciku wyciąga się po 8 nitek, a 4 zostawia na kratkę ułożoną w ten sposób iż brzegi kwadratu stanowią ząbki; podług ryc. 41 obrzuca się brzegi po wycięciu wyciągniętych nitek, obrzuca okrętką pozostałe nitki tworzące kratkę i dodaje pajączki point d'esprit w kratkach oznaczonych krzyżykami. Wąziutki szlaczek otaczający kwadraty także wskazan

jest na ryc. 41; wykonywa go się dwoma nitkami, zajmując po 4 nitki płótna na igłę. Proste brzeżki oddzielające szlak u góry i u dołu, wyszyte jedną nitką w sposób wskazany na ryc. 41, dając na każdą stronę kratki jeden ścieg przez cztery nitki tła.


N. 4. Kokarda z kwiatami do głowy i do sukni.


N. 3. Koronka wywodzona na tiulu.


N. 5. Żabot lub kokarda do głowy, Patrz rycina 6—7.


N. 8. Kokarda alzacka ozdobiona haftem. Patrz ryc. 19.


N. 9. Kokarda do kołnierzyka ozdobiona wyszyciem. Patrz ryc. 20.


N. 14. Medaljon ozdobiony malowaniem.

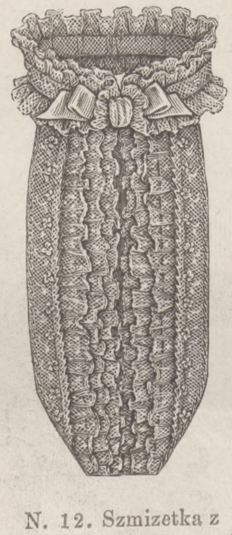

N. 6. Koronka wywiedziona nitką srebrną do ryc. 5.


N. 15. Medaljon z drogiemi kamieniami.


N. 10. Czepeczek z trójkątnej chusteczki.


N. 7. Część motyla do ryc. 5.


N. 11. Czepeczek z koronki i wstążki.


N. 12. Szmizetka z koronki i wstawki.


N. 16—17. Naszyjnik koralowy i bransoletka z drogiemi kamieniami.


N. 13. Chusteczka z koronką.

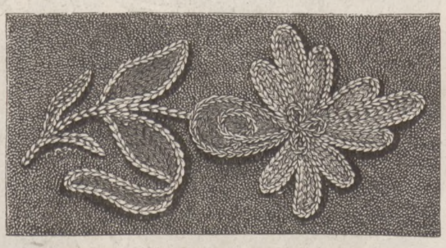
Ścieg gobelinowy wyszywa się również obliczając nitki w płótnie. Rycina 42 załącza drugi wzór szlaku, który odrobić można podług tych samych wskazówek.

N. 43. Spódniczka dla dziewczynki lat 3—5.

Uszyta z niebieskiej flanelki składa się z dwóch części po 16 cent. długich z których wyższa kraje się znacznie węższej a dolna stanowi nadmarszczoną falbanę 120 c. obwodu mającą, ozdobioną wyszyciem krzyżykowem włóczką angielską.

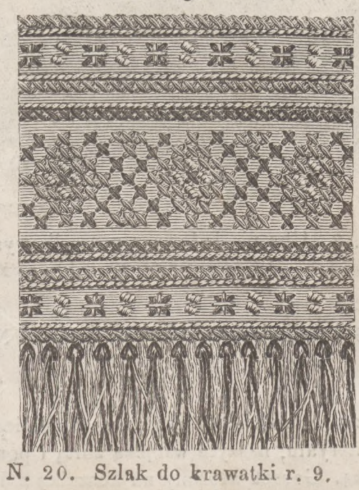
N. 44 i ryc. 40 w N-rze 5. Suknia z vêtement.

Wykończona z kaszmiru indyjskiego i aksamitu tegoż koloru. Przody naszyte aksamitnemi plisami 8 cent. szerokiemi, krają się w jednym ciągu z bokami, zakończonemi ranwersami aksamitnemi, które przy górnym prostym brzegu liczą po 60 cent., przy tylnym 52 a ze skośnego brzegu po 80 cent. Plecy ukrojone na długość stanika, mają baskinę złożoną w kontrafałdy; od spodu baskiny dodany prosty bryt, 88 cent. długi, 62 szeroki złożony w fałdy u góry i w środku spięty wielką kokardą, pod tym brytem przyczepione są tylne brzegi ranwersów. Przód i boczne bryty sukni przysłonięte są fałdowaniem, na które potrzeba kawałka materyału 240 cent. szerokiego a 72 długiego,


N. 19. Haft łańcuszkowy do kokardy alzackiej.


N. 18. Krzyż brylantowy.


N. 21. Suknia princesse z dodaną kamizelką.


N. 20. Szlak do krawatki r. 9.


N. 22. Ubranie balowe z gorsecikowym stanikiem. Patrz ryc. 2.

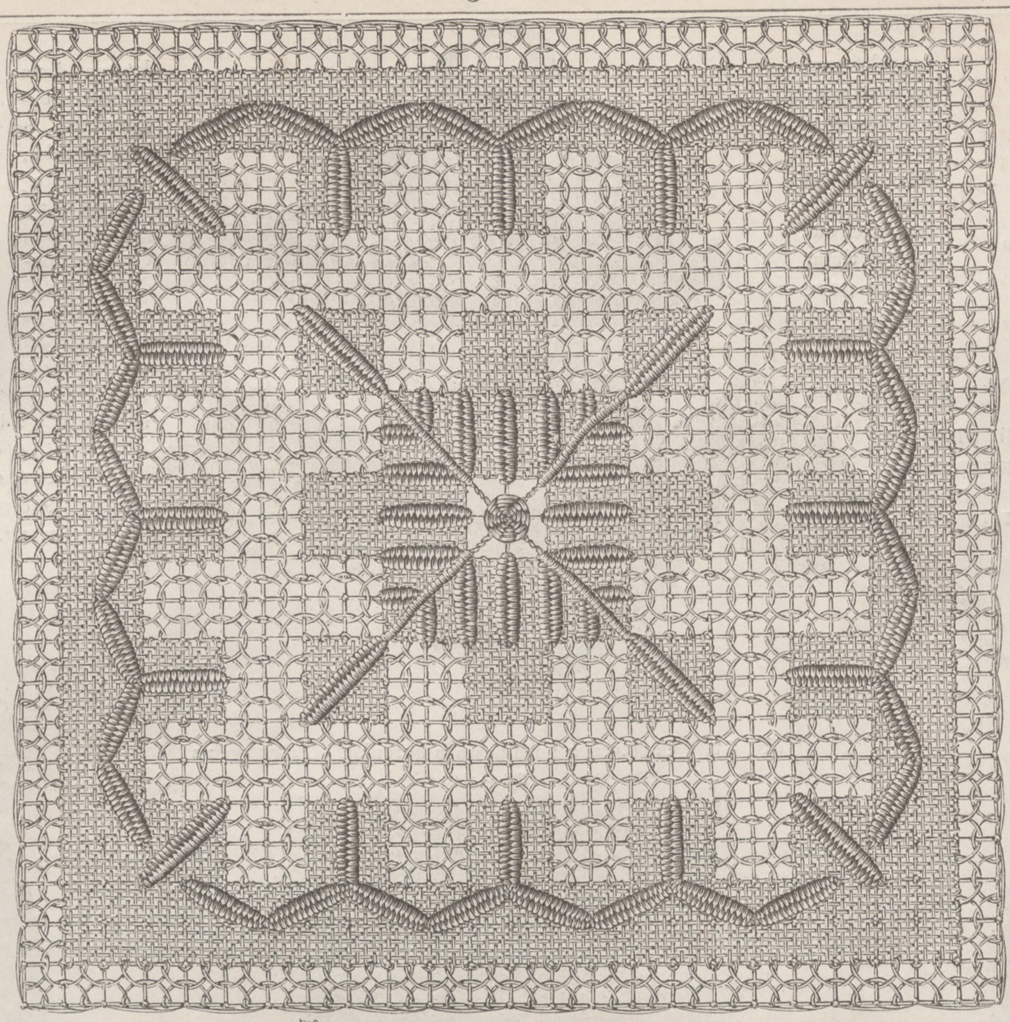
który przyszywa się na 24 cent. odstępu od górnego brzegu sukni. Środkiem każdej kontrafałdy naszyta plisa aksamitna 6 cent. szeroka.

N. 45. Płaszczyk dla dziecka noszonego na ręku. Krój na arkuszu Nr. X, Fig. 42—48.

Krając przody i plecy pła-



N. 23. Sukieneczka z plastronem, dla rocznego dziecka. Krój podług r. 24—25 w N. 40 z roku przeszłego.



N. 25. Kwadrat z siatki gipiurowéj, wykonany ściegiem en relief, point de toile i p. d'esprit.



N. 24. Sukieneczka z odznaczonem sznurowaniem dla rocznego dziecka.

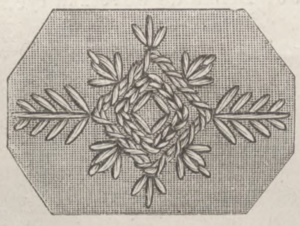
szczyka podług Fig. 42 i 43, trzeba przedłużyć je i rozszerzyć podług wypisanych miar, od spodu dodać podszewkę lekko podwatowaną i pikowaną w kwadraty; górny brzeg złożyć w kontrafałdy i wszyć w karczek ukrojony podług Fig. 44. Rękawki lekko watowane przy ręce ściągnięte na elastykę, wszyte są w pachę podług odpowiednich liter. Krój pelerynki załącza Fig. 46; szerokość i długość trzeba dopełnić podług podanych miar; brzeg dolny wycięty w zęby po 8 cent. długie, u dołu 5 u góry 6 cent. szerokie ozdobione wyszyciem. Kołnierzyk kraje się z podwój-



N. 33. Szlak do portjer, serwet i t. p.



N. 27. Wachlarz ze szlakiem haftowanym na krepie. Patrz r. 28—30.



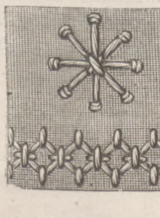
N. 28. Rzucik do ryc. 27.



N. 26. Wachlarz z wyszyciem krzyżykowem.



N. 31. Mitenka siatkowa. Patrz ryc. 42—45.



N. 29. Szlaczek do ryc. 27.

nie wziętego materyału, między króry wsunięty sztywny muślin i zszywa z peleryną od Y do Z. Model był z niebieskiego kaszmiru na białej podszewce, brzegi peleryny objęte wąskim jedwabnym skosem, a od spodu podgarnirowane białem plisowaniem muślinowem, 7 i 14 cent. szerokiem. Szlak wyszyty kordonkiem niebieskim, ściegiem krzyżykowym, na plisie oddzielnej która następnie przystębnowywa się na płaszczyku.



N. 22. Czapeczka męzka.

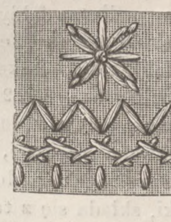
N. 46 — 47. Fartuszek dla dziecka. Krój na arkuszu Nr. IV, Fig. 20—22.

Krając fartuszek podług Fig. 20—22 trzeba przypuścić materyału na obrąbki i zakładki. Przody od dwukropka do gwiazdki zmarszczone drobniutko na 6 cent. szerokości, wszyte w pasek ze wstawki 2 cent. szerokiej, plecy zaś mają karczek przykrojony podług Fig. 22; na ramieniu dany szew (od q do r). Przody po zmarszczeniu zebrane są poniżej w trzy kontrafałdki ozdobione guziczkami.

Opis do N. 7.

N. 1. Ubranie ślubne z trenem prosto ściętym.

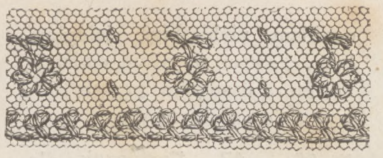
Biała atłasowa ślubna suknia, ma plecy krajane razem z długim trenem podług formy princesse, z przodu zaś oddzielną spódniczkę i stanik z długą baskiną. Przód i boczne bryty spódnicy ułożone są w poprzeczne trochę bafujące się fałdy, a u dołu oszyte plisowaniem 12 cent. szerokiem. Prawdziwa fałdowana walensjenka naszyta na szwach bo-



N. 30. Szlaczek do ryc. 27.



N. 34. Szlak do serwet, portjer i t. p. Ścieg w gwiazdki.



N. 38. Koronka wywodzona na tiulu (denlelle Bretonne).



N. 35. Woreczek do robót. Patrz ryc. 36.



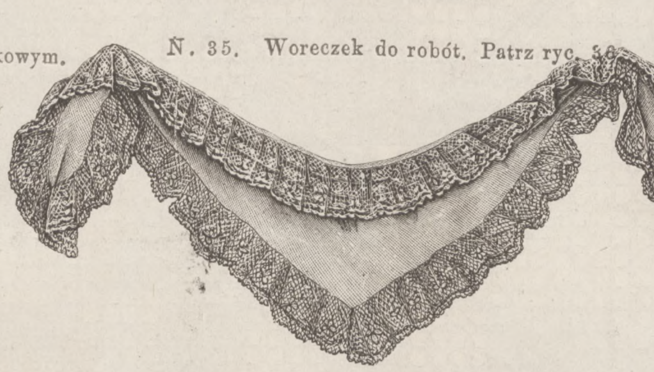
N. 39. Koronka wywodzona na tiulu.

N. 2 i 22. Ubranie balowe ze stanikiem gorsecikowym.

Model ślicznego, dla młodych osób właściwego ubrania odrobiony był z białego, klarownego tiulu, ze stanikiem gorsecikowym z niebieskiego atłasu. Wstążka niebieska atłasowa 3, 5 i 7 cent. szeroka użyta do przybrania. Z pod gorsecika w górze w zęby wyciętego i rulonikiem objętego wygląda szmizetka tiulowa, ułożona w podłużne fałdy, na podszewce stanika; baskina gładka, okrągła z przodu, z tyłu jest fałdowana i frakowo przedłużona, jak to widzimy na ryc. 22. Na fałdy trzeba przy krajaniu plecków dodać materyału. Krótkie bufowane rękawki, ogarnirowane plisowaniem. Garnirunek spódnicy z przodu 30 cent. szeroki, składa się z trzech jedna na drugą zachodzących 10 cent. szerokich, w kontrafałdy układanych i pukielkami przepinanych falban, z jednej atłasowej 9 cent. szerokiej, nad

cznych trenu, z przodu przy baskinie i przy wykroju szyi. Długi i szeroki welon z jedwabnego tiulu; wianek mirtowy.

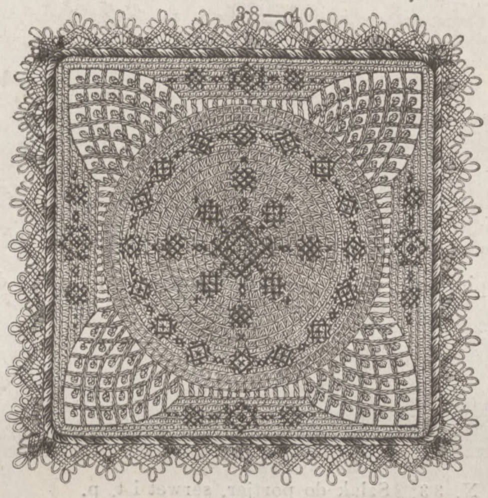
którą dana tiulowa z nagłówkiem 8 cent. szeroka. Z tyłu na trochę węższy garnirunek, ułożony podług ryc. 22, zachodzi bryt prosty 190 cent. szeroki, z boków i u dołu sutą riuszą oszyty, ubr[…] wstążką i spięty dużą kokardą tiulową. Przód [s]pódn[…] układa się z bryta tiulu mającego w górze 62, u do[…] 120 cent. szerokości, w środku 182, z brzegó[…] 200 cent. długości; zdobiące go plisy atłasow[…] 9 cent. szerokie przyszyte są riuszami tiul[…]wemi.



N. 37. Chusteczka muślinowa z koronką. Patrz rycina 38—40.



N. 40. Chusteczka do zawiązania na paletocie, płaszczyku i t. p. Patrz ryc. 37.



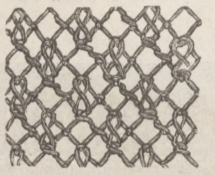
N. 36. Denko do woreczka ryc. 35.



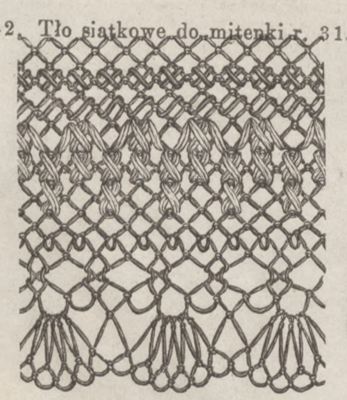
N. 41. Ubranie wieczorowe z długim stanikiem.

N. 4. Bukiecik z kwiatów i wstążki. Tak d[o] ubrania głowy jak i do przystrojenia sukie[n] balowych, bardzo używane są obecnie większe lub mniejsze, rozmaicie układane bukieciki z kwiatów, mieszanych z aksamitką, lub wtążką, z dodaniem świecideł albo bez takowych.

(d. c. n).



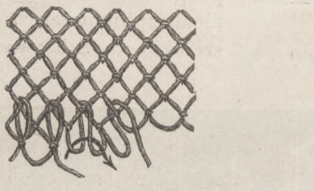
N. 42. Tło siatkowe do mitenki r. 31.



N. 43. Ząbki przy górnym brzegu mitenki ryc. 31.



N. 46 — 47. Kostjum z tuniką podpiętą à panier.



N. 44. Wykonanie pentelek do szlaczka do mitenki ryc. 31.



N. 43. Ząbki siatkowe do mitenki r. 31.



Pl. 384.

TYGODNIK MÓD.

W WARSZAWIE.